

Andre Norton

Magia Stali

Przełożył Paweł Sakowski

Tytuł oryginału: Steel Magic

Dla

*Stephena, Grega, Erica, Petera, Donalda, Aleksandra, Jeffrey'a oraz dla
Kristen i Debory - którzy uwielbiają książki ze świata fantastyki.*

Rozdział I

Jezioro i zamek

Wszystko zaczęło się od piknikowego koszyka, który Sara Lowry wygrała na Truskawkowym Festiwalu Strażaków w Ternsport Yillage. Ponieważ po raz pierwszy dzieci Lowrych coś wygrały, nie mogły uwierzyć własnym uszom, gdy naczelnik Loomis podał numer tego właśnie losu, który Sara przyczepiła do jednego z rogów swojej chusteczki. Grzegorz i Eryk musieli wepchnąć ją na podest, na którym czekał z megafonem naczelnik.

Koszyk był wspaniały. Chłopcy zgodzili się co do tego, gdy tylko dokładnie go obejrzeni. Pod przewiazaną kawałkiem tasiemki pokrywką znajdowały się widelce, łyżki i noże z nierdzewnej stali, a także komplet czterech filiżanek - niebieskiej, żółtej, zielonej i ognistoczerwonej - z dopasowanymi kolorystycznie plastikowymi talerzykami. Sara była wciąż tak oszołomiona swoim szczęściem, że wcale by się nie zdziwiła, gdyby koszyk zniknął, zanim by go doniosła do samochodu wuja Maca.

Gdy wuj zwolnił nieco na ostrym zakręcie przy zjeździe na prywatną szosę Tern Manor, Sara zacisnęła uchwyt na rączce koszyka i mimo że twardy łokieć Grzegorza wbił jej się w zębra, nie próbowała zmienić pozycji. W tej okolicy straszło w nocy i nie zdziwiła się, że Grzegorz odsunął się od okna, gdy poskręcane gałęzie nachyliły się do samochodu, jakby próbując zepchnąć auto z wąskiej drogi w kładące się wzdłuż szosy cienie. Jadąc tędy nocą człowiek zastanawiał się, czy to wciąż stan Nowy Jork, z rzeką Hudson odległą zaledwie o dwa wzgórza i trzy pola - czy też jakaś niesamowita kraina z baśni rodem.

Właśnie przejeżdżali obok ciemnego placu, gdzie kiedyś stał duży dom. Spłonął dwadzieścia lat temu, dużo wcześniej zanim wuj Mac kupił starą przyczepę mieszkalną i ziemię z ogrodami, którą nazywał swoim schronieniem. Wuj Mac pisał książki i potrzebował dużo ciszy i spokoju podczas pracy. Miejsce, gdzie kiedyś stał dom, wciąż znaczyły stare otwory piwniczne i młodzi Lowry'owie zostali dokładnie ostrzeżeni, żeby ich nie penetrować. Ponieważ jednak wuj Mac był bardzo liberalny i pozwalał im chodzić po rozległych ogrodach i małym skrawku lasu - Lowry'owie w sumie byli zadowoleni.

Wjechali na podwórze starej stadniny. Gdy pięćdziesiąt lat temu zbudowano tutaj duży dom, hodowano tu konie, a ludzie jeździli śmiesznym powozem, który dzieci znalazły wciśnięty w kąt starej stajni. Ale teraz większą część stajni zajmował

samochód i nie było tu koni.

Pani Steiner - gospodyni - czekała na stopniach przyczepy mieszkalnej i w momencie gdy wuj Mac wysiadł z wozu, zaczęła wymachiwać w jego stronę specjalną przesyłką lotniczą. Dzieciom natomiast rzuciła jedno ze swoich wyjątkowych spojrzeń typu: „czas spać, a więc pośpieszcie się, bo przegapię swój ulubiony program telewizyjny”. Pani Steiner roztaczała wokół siebie autorytet, natomiast wuj Mac - szczególnie gdy pisał - mógł się czasami, nieobecny myślami, zgodzić na ciekawą zmianę obowiązujących zasad i przepisów. Wuj nie był przyzwyczajony do dzieci. Pani Steiner była, i stanowiła godnego szacunku przeciwnika, jeśli chodziło o jakiegokolwiek ustępstwa.

Mimo wszystko jednak dzieci państwa Lowrych spodziewały się beztrudnych wakacji, bo niezależnie od pani Steiner, pobyt w Tern Manor miał swoje zalety. Nie była jaka odpowiedzialność spoczywała też na wuju Macu, bo tata został wysłany ze specjalną misją do Japonii i zabrał ze sobą mamę na dwa miesiące.

Komuś, kto całe życie mieszkał w mieście, a nie na wsi, resztki starego dworu mogły się wydawać niesamowite i przerażające. Grzegorz był wprawdzie już kiedyś na obozie harcerskim, a Eryk kilka razy wybrał się na całonocną wędrówkę do stanowego rezerwatu, gdy tata stacjonował w wielkiej bazie lotniczej w Kolorado. Ale dla Sary był to pierwszy wyjazd poza dom, w miejsce, gdzie człowiek niemal nie ingerował w życie przyrody. Lękała się dużych, poszarpanych krzaków i wysokich drzew i starała się zawsze mieć kogoś z chłopców przy boku, gdy tylko oddalała się zbyt daleko od podwórka czy drogi.

Pani Steiner mówiła coś o węzach, ale ich Sara się nie bała. Zdjęcia węży, które oglądała w książkach w bibliotece, były dla niej czymś interesującym i uważała, że obejrzenie takiego okazu na wolności mogło być niezłą zabawą. Za to trujący bluszcz i „te wstrętne robaki”, o których pani Steiner wspomniała na końcu - to była inna sprawa. Sara nie chciała myśleć o robakach, szczególnie o takich, które miały mnóstwo nóg i lubiły chodzić po ludziach. Dawno już zdecydowała, że pająki są znacznie bardziej nieprzyjemne niż węże. Naprawdę się ich bała, choć wiedziała, że to głupie. Widok takiego stworza, pędzącego na nie wiadomo ilu nogach - to coś wstrętnego!

Gdy wchodzili po schodkach do małych sypialni na piętrze przyczepy, Eryk wskazał na koszyk, który Sara wciąż trzymała w ręku i powiedział:

- Napełnijmy go jutro i wybierzmy się na wyprawę, na cały dzień.

- Niezła myśl, poszukamy jeziora - zgodził się Grzegorz. - Zapytamy wuja Maca przy śniadaniu, oczywiście po wypiciu trzeciej filiżanki kawy.

- Pani Steiner mówi, że tam mogą być węże - powiedziała Sara i w głębi ducha dodała: „Proszę, tylko żadnych dużych pajaków, małe w zupełności wystarczą”.

Grzegorz prychnął, a Eryk przystanął na kolejnym schodku.

- Pani Steiner wszędzie widzi węże. Chyba że zauważy coś jeszcze gorszego. Wodne węże, na przykład. O, nawet chciałbym takiego węża wodnego mieć na własność. W każdym bądź razie zawsze korciło nas, by odnaleźć jezioro, i to od chwili, jak tylko wuj Mac nam o nim opowiedział.

Tak było istotnie. Sposób, w jaki wuj Mac opowiadał legendę o zaginionym jeziorze, w zupełności wystarczał, żeby całą trójkę Lowrych podekscytować. Ogrody stanowiły teraz splątana dżungla, ale zaplanowane były pierwotnie jako ozdobne otoczenie jeziora. Ziemię tu kupił ponad pięćdziesiąt lat temu niejaki pan Brosius, połączwszy trzy nadrzeczne gospodarstwa, i stracił masę czasu i pieniędzy na rozbudowę tej posiadłości. Pan Brosius był legendą, w dodatku dziwną legendą. Ów długobrody przybysz znikąd zapłacił za wszystkie koszty budowy dworu złotymi monetami. A potem zaginął, a dom spłonął.

Nikt nie był całkowicie pewien, do kogo właściwie należała ta posiadłość, aż wreszcie została sprzedana na licytacji Urzędu Podatkowego za zaległe podatki. Farmerzy kupili pola, a część z ogrodami przeszła w posiadanie handlarza nieruchomościami, który w końcu sprzedał ją wujowi Macowi. A wuj Mac nigdy nie próbował przedrzeć się przez jeżyny i zarośla, żeby sprawdzić, czy jezioro wciąż jeszcze tam było. Prawdę mówiąc powiedział, że z całą pewnością dawno temu wyschło.

Sara zastanawiała się, czy to prawda. Przestała się na moment rozbierać, żeby jeszcze tylko raz otworzyć koszyk i nasycić oczy jego zawartością. Zadała sobie teraz pytanie: Co by było, gdyby wuj Mac nie wziął ich dziś wieczór na festiwal, albo gdyby nie miała swego kieszonkowego w portmonetce i nie mogła kupić tego losu? Być może gdyby nie wygrała koszyka, chłopcy nie zabraliby jej na poszukiwanie jeziora. No cóż, zapowiadało się wspaniałe lato!

Sara wyłączyła światło i usiadła na łóżku. Po raz pierwszy nie wystawała przy oknie, nasłuchując dziwnych dźwięków dochodzących z ciemności. Nietrudno było wyobrazić sobie, że tam, na zewnątrz dzieją się rzeczy, których w biały dzień nie widać, rzeczy tajemnicze, niczym jezioro, a może nawet jeszcze bardziej niezwykle...

Tego wieczora Sara myślała o pakowaniu koszyka na wycieczkę. I rozmyślając o kanapkach z masłem orzechowym, gotowanych na twardo jajkach, ciastkach i coca-coli, Sara wtuliła się w kołdrę i zasnęła.

Następnego ranka wszystko poszło zgodnie z planem. List do wuja Maca wzywał go do Nowego Jorku, a pani Steiner obserwując szybko znikające ze stołu śniadanie, stwierdziła, że weźmie się za gruntowne sprzątanie.

Gdy Sara przygotowywała koszyk i poprosiła o rzeczy potrzebne do urządzenia pikniku, nie napotkała żadnego sprzeciwu. Pani Steiner zrobiła im nawet termos zimnej lemoniady. Szczęście im dziś sprzyjało, a więc doskonały dzień na poszukiwanie jeziora.

Grzegorz prowadził ich przy pomocy kompasu. Twierdził, że idą we właściwym kierunku, by dotrzeć w sam środek zdziczałych ogrodów. Podczas marszu jednak coraz częściej koszyk zaczął się dawać we znaki. Szczególnie wówczas, kiedy musieli się przedzierać na czworakach przez zarośla. Wtedy koszyk podskakiwał i uderzał o przeszkody. Sara drżała, bo była pewna, że cała zawartość się przemieszcza. Zdecydowanie jednak protestowała przeciwko temu, by ktoś pomógł jej go nieść. Przecież to w końcu był jej koszyk..

Głośno się o to spierali, kiedy zupełnie niespodziewanie stanęli na szczycie kruszących się, pokrytych zielonym mchem schodów i zobaczyli w dole jezioro... i coś jeszcze!

- To Camelot! - krzyknął Eryk pierwszy. - Pamiętacie rysunek w książce o dzielnym księciu? To Camelot, zamek króla Artura!

Sara, która miała inne czytelnicze gusta, przysiadła tymczasem na najwyższym stopniu schodów i pocierała podrapaną kolcami dzikiej róży rękę o kolana. Jej oczy rozszerzyły się od radosnego zdziwienia, gdy na wpół wyszeptąła:

- Oz!

Greg nie powiedział ani słowa. Tak, to naprawdę był zamek. I było to najwspanialsze odkrycie, jakiego Lowry'owie kiedykolwiek dokonali. Ale co ten zamek tutaj robił i dlaczego wuj Mac nigdy o nim nie wspomniał, gdy mówił o zagubionym jeziorze? Kto go zbudował i dlaczego - bo prawdziwe zamki, nawet jeśli były bardzo małe, nie wyrastały ot tak po prostu na wyspach na środku jeziora w dzisiejszych czasach!

Część przepowiedni wuja Maca, że jezioro mogło wyschnąć, okazała się prawdą. Zarys jego brzegów wskazywał na to, że bardzo się skurczyło, a pasmo

piasku i żwiru utworzyło nawet pomost między wyspą a wybrzeżem. Przyglądając się baczniej budowli, Grzegorz stwierdził, że zamek jest ruiną. Część jednej wieży zawaliła się, zasypując mały dziedziniec. Ale może uda im się usunąć kamienie i odbudować wieżę?

Pod wrażeniem tego co zobaczyli, zaczęli powoli schodzić w dół po schodach. Eryk spojrzął w ciemną wodę - mogła być głębsza niż się wydawała. Miał nadzieję, że nikt nie zaproponuje mu kąpieli, bo wtedy musiałby chyba wejść do wody, a nie chciał. W każdym razie nie do tego jeziora, a właściwie - żeby być szczerym - do innego też nie. Nagle wskazał na wodę, bo zauważył w niej coś.

- Tam leży zatopiona łódź. Być może kiedyś używano jej, żeby dostać się na wyspę.

- Kto to zbudował? - zastanawiała się Sara. - W Ameryce nigdy nie było rycerzy. Ludzie przestali mieszkać w zamkach przed przybyciem pierwszych osadników.

Grzegorz wspiął się na palce i z powrotem opadł na pełne stopy.

- To musiał być pan Brosius. Może przybył z kraju, w którym były zamki, i dla lepszego samopoczucia kazał i tutaj taki zamek zbudować. Śmieszne jednak, że wuj Mac nic nam o tym nie powiedział, a zdawać by się mogło, że ludzie o czymś takim będą pamiętać, skoro pamiętali o jeziorze.

Sara podniosła koszyk.

- W każdym bądź razie możemy tam teraz pójść. - Wyglądało na to, że to naprawdę było Oz, a ona była Dorotą zdążającą do Szmaragdowego Miasta.

- Oczywiście, że możemy! - Eryk przeskoczył wąski pas zielonkawej, spienionej wody i wylądował na piaszczystym gruncie. Potem wrzucił kamień do jeziora i obserwował rozchodzące się po jego powierzchni koła. Wodzie nigdy nie można ufać - nie ma w niej nic pewnego ani bezpiecznego. Tym bardziej cieszył się, że mieli przed sobą żwirową ścieżkę. W toni jeziora odbijało się mnóstwo niesamowitych cieni, które mogły ukrywać niejedną tajemnicę.

Zamek był wprawdzie miniaturą, ale wcale nie został zbudowany dla garnizonu ołowianych żołnierzyków. Nawet wuj Mac - słusznego wzrostu - mógłby przejść przez frontową bramę nie schylając się. Gdy minęli stos kamieni, które spadły z wieży, stanęli przed pionową ścianą. Grzegorz był zaskoczony, bo podczas oględzin zaniku ze szczytu schodów zdawało mu się, że jest znacznie większy.

- Ale oszustwo! - wybuchnął Eryk. - Myślałem, że to prawdziwy zamek.

Wydawał się większy z brzegu.

- Możemy udawać, że jest prawdziwy. - Sara nie czuła rozczarowania. Nawet połowa zamku była lepsza niż żaden. - Jeśli usuniemy stąd te wszystkie kamienie, będzie wyglądał na większy.

Eryk kopnął nogą w ziemię, piasek i żwir trysnął spod jego buta.

- Może.

Usuwanie tych kamieni wydawało mu się pracą podobną do koszenia trawy na rozległym terenie ogrodów, które wuj Mac starał się doprowadzić do porządku.

Grzegorz przeszedł wolno wzdłuż ścian, zwracając uwagę na sposób łączenia kamieni. Czy zamek został zbudowany tylko dla ozdoby - tak jak letni domek stojący niedaleko pastwiska, w którym jednak nie mogli się bawić ze względu na przegniłą podłogę?

Część ścian znajdująca się na wprost wejścia była gęsto pokryta pnączami, które przebijały się przez szczeliny i rozciągały zasłonę na kamieniach. Gdy Grzegorz rozchylił listowie w jednym miejscu, dokonał nowego odkrycia, które pozwalało mu przypuszczać, że jego pierwsze odczucie co do wielkości zamku mogło mimo wszystko być trafne.

- Hej! Jest tu jeszcze jedno wejście, ale ktoś je zamurował!

Ręce Sary ścisnęły uchwyt koszyka tak mocno, że drewno wbiło jej się w dłoń.

- Może... - zwilżyła usta - ...może właśnie tutaj się ukrył.

- Kto się ukrył? - zapytał Eryk.

- Pan Brosius... po tym jak zniknął i nigdy go nie znaleziono...

Grzegorz roześmiał się.

- To bzdura! Wiesz, co powiedział wuj Mac, że pan Brosius utonął w rzece. Znaleźli jego łódź. Dryfowała na rzece.

- Ale nie znaleźli jego - upierała się Sara.

- Nie, ale to była jego łódź; często w niej wypływał. A rzeka w tamtym miejscu jest bardzo niebezpieczna - argumentował Grzegorz.

- Pamiętasz, jak pani Steiner wciąż to powtarzała, już pierwszego wieczoru, gdy tylko przyjechaliśmy, a wuj Mac kazał obiecać, że nigdy tam nie pójdziemy?

Eryk poparł Grzegorza. Oczywiście, że tak właśnie było i pani Steiner nie omieszkała im o tym powiedzieć. Tak, to było właśnie jedno z tych jej „okropnych” ostrzeżeń. Wuj Mac nawet zawiózł ich w tamto miejsce i pokazał, gdzie prąd był

wyjątkowo silny i zdradliwy. Eryk potrząsnął teraz głową, jakby usunąć chciał sprzed oczu obraz wzburzonej wody.

W zeszłym roku latem i rok wcześniej Eryk brał lekcje pływania. Oczywiście, fajnie pływało się z tatą czy ze Slimem - instruktorem na plaży. Ale nawet wtedy nie lubił wody i nie ufał jej. I tak było do dziś.

Może Grzegorz miał podobne odczucie odnośnie do ciemności, bo czasami zastygł w bezruchu pośród ciemności. Kiedyś zbili latarkę schodząc do piwnicy. Zamierzali wymienić przepalony bezpiecznik. Grzegorz wówczas nie ruszył się ani na krok, dopóki ojciec nie zszedł na dół, żeby zobaczyć, co ich tak długo zatrzymywało. Cóż, teraz nie było ani ciemno, ani nie musieli też wchodzić do mrocznego, starego jeziora. Po co więc myśleć o takich rzeczach?

Grzegorz zrywał pełne garście pnączy, zostawiając ścianę nagą, upstrzoną tylko gdzieniegdzie skrawkami korzeni winorośli. Ktokolwiek zamurował to wejście, zrobił to szybko i niestarannie, ponieważ na samej górze brakowało jednego kamienia i widać było ciemną dziurę.

Grzegorz wdrapał się na chwiejne zwały gruzu i wepchnął rękę w otwór rozwalonej wieży. Otwór znajdował się ponad jego głową.

- Zdaje mi się, że tam jest sporo przestrzeni - zakomunikował entuzjastycznie.

- Może jakaś komnata.

- Czy sądzisz, że dalibyśmy radę wyciągnąć pozostałe kamienie? - zapytała Sara. Nie była jednak zadowolona. Nie podobał jej się widok znikającej ręki Grzegorza. Wprawiło ją to w lęk, choć jednocześnie ekscytowało.

Grzegorz, nie czekając na nic, wziął się do pracy i zrywał pnącza. Wreszcie wskazał na oczyszczony mur.

- Potrzebuję czegoś do wydłubania zaprawy i poluzowania kamieni!

Nikomiu nie chciało się wracać do domu po narzędzia. Eryk poprosił Sarę o widelec z koszyka.

- Są z nierdzewnej stali, prawda? Cóż, stal jest bardzo twarda. A poza tym nas jest tylko troje, a widelce są cztery. Nic się nie stanie, jeśli złamiemy jeden.

Sara gorąco zaprotestowała, ale w gruncie rzeczy chciała zobaczyć, co się kryje za ścianą i w końcu podała widelec. Chłopcy pracowali na zmianę przy wybieraniu skruszałej zaprawy i już po chwili

- - ponieważ widelec spisywał się świetnie - mogli przekazać wyciągnięte kamienie siostrze, która odkładała je na bok. Dokuczały im natarczywe muchy, a

niektóre komary zdawały się być wyjątkowo głodne. Wypłoszone ze swoich domostw wielkie, owłosione pająki gnały wśród pnączy. Ich widok przyprawiał Sarę o mdłości.

Po jakimś czasie Grzegorz podciągnął się na rękach, żeby spojrzeć przez nieregularny otwór, który udało im się zrobić.

- Co jest w środku? - zapytała Sara i szarpnęła Grzegorza za zwisającą połą koszuli. Tymczasem Eryk zaczął się domagać, żeby i jemu pozwolono popatrzeć.

Na opalonej twarzy Grzegorza pojawił się dziwny wyraz.

- Mów wreszcie, dobra? Co tam jest?

- Nie wiem...

- Daj mi zobaczyć! - Eryk podparł się łokciem dla zachowania równowagi i zajął miejsce brata.

- A niech to! Tam jest zupełnie szaro! - krzyknął w chwilę potem. - Może to taki zamaskowany pokój bez okien, wiecie, do chowania skarbów. Może to tutaj pan Brosius trzymał całe swoje złoto.

.Myśl o skarbie usunęła część wątpliwości Sary. To także skłoniło chłopców do większego wysiłku, tak że wkrótce znacznie powiększyli otwór i Sara mogła też tam zajrzeć.

Wewnątrz faktycznie było szaro - jakby przestrzeń po drugiej stronie ściany była wypełniona mgłą. Nie podobało jej się to, ale jeśli tam był skarb... Pan Brosius zawsze płacił złotem w wiosce. Ta historia była prawdziwa - ludzie wciąż dużo o tym mówili.

- Ja jestem najstarszy - Grzegorz przerwał milczenie stwierdzeniem, które już wiele razy w przeszłości wprowadziło ich w kłopoty, a czasami i z nich wyprowadziło. - Pójdę pierwszy.

Przeskoczył przez kilka kamieni i zniknął. Wyglądało to tak, jakby szara substancja owinęła się wokół niego.

- Grzegorz! - krzyknęła Sara, ale Eryk już siei przepychał obok niej.

- Uwaga! Już! - zawołał Eryk i znikł, dając do zrozumienia, że mała, bo roczna, różnica w wieku nie ma żadnego znaczenia, jeśli chodzi o odwagę, siłę i umiejętność radzenia sobie w trudnych sytuacjach.

Sara przełknęła ślinę i cofnęła się o kilka kroków. Wycofując się z szarej strefy, potknęła się o koszyk. Chwyciła go za obie ręczki, uniosła nad krawędzią i przelazła przez otwór, zdecydowana na to, by za nic na świecie nie stracić chłopców.

Rozdział 2

Za ścianą

Sara czuła się tak, jakby wchodziła do wnętrza chmury, chociaż szara substancja wokół niej nie była ani mokra, ani zimna. Nie mogła dostrzec ani swoich stóp, ani rąk, czy czegokolwiek. Dokoła siebie widziała jedynie wirującą mgłę i przyprawiało ją to o zawrót głowy. Zamknęła oczy i szła dalej.

- Grzegorz! Eryk! - Chciała krzyknąć na cały głos, ale zabrzmiało to tylko jak słaby szept. Wstrzymała oddech, zadrżała i zaczęła biec. Koszyk obijał jej się o nogi.

Nagle rozległ się śpiew ptaka i ni stąd ni zowąd zmienił się grunt pod nogami. Sara zwolniła, wreszcie stanęła nieruchomo i otworzyła oczy.

Mgła zniknęła. Gdzie Sara się znajdowała? Na pewno nie w komnacie małego zaniku.

Bojaźliwie wyciągnęła rękę, żeby dotknąć pnia drzewa i przekonała się, że jest prawdziwy. Potem odwróciła się w kierunku ściany i drzwi. Wszędzie drzewa, same drzewa, wszystkie wielkie i stare, a dokoła nich na ziemi miękko ściele się gruba warstwa brązowych liści. Przez gałęzie drzew przedzierają się postrzępione promyki słońca.

- Eryk! Grzegorz! - Sara znowu krzyknęła i tym razem jej głos zabrzmiał jak trzeba, głośno i donośnie. Zza drzewa wychynęło jakieś stworzenie. Sara rozwarła usta do ponownego krzyku. Rudo-czarno-białe zwierzę, z puszystym ogonem i spiczastym nosem, przysiadło i przyglądało się Sarze z wielkim zaciekawieniem. Sara odwzajemniła to spojrzenie. Jej strach szybko topniał, a po chwili upewniła się, że zwierzę śmieje się z niej. Teraz rozpoznała, że to lis. Ogarnęło ją jednak zdziwienie. Czy lisy zawsze były tak duże? Te, które widziała w zoo, wydawały się znacznie mniejsze. Ten zaś był tak wielki jak dog, którego często widywała w sąsiedztwie, gdy jeszcze mieszkali w Kolorado. Stwierdziła, że był bardzo podobny do lisa z ilustracji z jej ulubionej książki z bajkami.

- Cześć - odważyła się powiedzieć.

Lis otworzył pysk i wysunął swój spiczasty język. Następnie kłapnął zębami na zuchwałą muchę, która mu dokuczała. Sara postawiła koszyk. Może lis miałby ochotę na kanapkę z masłem orzechowym? Miała jeszcze kanapki z szynką, ale tylko trzy. Zanim się jednak zdążyła ruszyć, lis podniósł się i machnąwszy puszystym ogonem uciekł.

- Sara! Gdzie jesteś! Sara!

Grzegorz kręcił się między drzewami. Gdy ją zauważył, zamachał niecierpliwie ręką.

- Chodź! Znaleźliśmy rzekę!

Sara westchnęła lekko i znowu podniosła swój koszyk. Wiedziała, że lis nie wróci, zwłaszcza jeśli, Grzegorz będzie tak wrzeszczał. Potem zaczęła się zastanawiać nad tym, co on powiedział. Po co rzeka na tak małej wyspie? Kiedy oglądali ten skrawek łądu ze szczytu stopni, nie było tam ani wielkich drzew, ani tym bardziej rzeki.

- Gdzie my jesteśmy? Skąd się wzięły te wszystkie drzewa i rzeka na małej wyspie? - zapytała Grzegorza, gdy go dogoniła.

Grzegorz wyglądał na zakłopotanego.

- Nie wiem. Wydaje mi się, że nie jesteśmy już na wyspie, Saro. - Wziął od niej koszyk i objął ją drugą ręką. - Chodź. Sama się przekonasz, co mam na myśli.

Wędrowali pośród drzew, a las z czasem coraz to bardziej rzedł. Na otwarte połacie leśne porośnięte trawą i drobnymi roślinkami zlewały się złote promienie słońca.

- Motyle! Nigdy nie widziałam tyle motyli! - Sara oderwała się od brata. To, co na początku wzięła za kwiaty, wznosiło się teraz na połyskliwych skrzydełkach w górę i odlatywało.

- Tak. Jest tu też dużo ptaków - powiedział Grzegorz, zwalniając nieco kroku. - Powinnaś zobaczyć je w dole, nad rzeką. Była tam czapla na łowach. Widzieliśmy, jak złapała żabę. - Złożył dwa palce razem, naśladując ruchy czapli. - Chwycała ją dziobem, o tak. Mówię ci, to wspaniała kraina.

Schodząc w dół po łagodnym zboczu dotarli do miejsca, gdzie pasmo piasku zalewał płytki strumień. Leżał tam Eryk i pluskał w wodzie. Gdy do niego podeszli, usiadł. Na jego twarzy malowało się podekscytowanie.

- Ryby! - wyjaśnił. - Dosłownie wszędzie Popatrzcie tylko!

Ławice płotek przemykały wzdłuż skrajów mielizn, podczas gdy komary ślizgały się po powierzchni wody, a ważki to stały w miejscu, to unosiły się.

- Widziałam w lesie lisa - powiedziała Sara. - Siedział i patrzył na mnie, i wcale się nie bał. Ale gdzie my jesteśmy?

Eryk położył się teraz na plecy i - wciąż mając jedną rękę w wodzie - spoglądał w błękit bezchmurnego nieba.

- Nic mnie to nie obchodzi. Tutaj mamy borne miejsce, lepsze niż jakikolwiek stary park czy też obóz harcerski - dodał, patrząc na Grzegorza. - A teraz jestem głodny. Zobaczmy, co jest w tym koszyku, który wleliśmy ze sobą całe przedpołudnie.

Przenieśli się w cień stojących nad brzegiem rzeki wierzb, których wąskie liście szeleściły przy lżejszym nawet podmuchu wiatru. Podczas gdy Sara rozpakowywała koszyk, Grzegorz zauważył, że źle policzyła i powiedział:

- Hej, nas jest tylko troje. Czemu wyjęłaś cztery nakrycia?

Faktycznie, wyjęła wszystkie cztery plastikowe talerze, przy każdym postawiła też filiżankę i właśnie rozdelała kanapki. Grzegorz dostał talerz czerwony, Eryk żółty, a niebieski był dla niej. Dlaczego wystawiła też zielony? Kto wie, może się przyda!

- Możemy przyjąć gościa - powiedziała.

- Jakiego gościa? Tu nie ma nikogo oprócz nas - zawołał Eryk i roześmiał się głośno.

Sara przykucnęła.

- No dobrze, panie Mądraliński - warknęła. - Jeśli wiesz tak dużo, to może powiesz mi, gdzie jesteśmy! Bo na pewno nie na małej wyspie na jeziorze! Skąd możesz wiedzieć, że nie ma tu nikogo prócz nas?

Eryk przestał się śmiać. Spojrzał niepewnie na siostrę i na Grzegorza. A wtedy cała trójka odwróciła się i utkwiała wzrok w cieniowym lesie, z którego niedawno wyszli. Grzegorz zaczerpnął głęboki oddech, a Sara zaczęła mówić dalej:

- I jak teraz - wrócimy? Czy którykolwiek z was, duże sprytnie chłopaki, pomyślał o tym? - Sięgnęła po koszyk, jakby dotknięcie go mogło ją przenieść z powrotem do rzeczywistego świata.

Grzegorz zmarszczył brwi i spojrzał na rzekę.

- Możemy wrócić tam, skąd przyszliśmy - powiedział. - Starłem się drogę oznakować, nacinając drzewa swoim nożem harcerskim. - Sara była zdziwiona, a w chwilę potem dumna ze swego brata, bo okazał się na tyle inteligentny, że w ogóle o tym pomyślał. Tak więc wiedząc, że mają oznaczoną drogę do zamkowej ściany i bramy, poczuła się swobodniej. Zebrała teraz kanapki z wszystkich talerzy i wsadziła je z powrotem do koszyka. Skoro Grzegorz mógł być przewidujący, ona nie chciała być gorsza od niego.

- Chwileczkę! Zaczekaj! - protestował gwałtownie. - Dlaczego je chowasz?

Jestem głodny!

- Możesz być głodniejszy - odparowała. - Jeśli nie wrócimy na czas na kolację.

Grzegorz właśnie otwierał termos, gdy nagle zerwał się na równe nogi i wpatrzył w punkt za sobą. Wyraz jego twarzy sprawił, że Sara się odwrócił, a Eryk przestał przeżuwać kanapkę.

Równie bezszelestnie jak przedtem w lesie jawił się lis, teraz inna istota pojawiła się w polu widzenia. Z tą jednak różnicą, że Sara zaakceptowała lisa jako naturalnego mieszkańca lasów, a istoty podobnej do tej, która się pojawiła, żadne z nich nigdy nie widziało.

Był to młodzieniec. Znacznie jednak starszy Grzegorza, pomyślała Sara. Miał ładną twarz, o pięknych rysach, chociaż widniało na niej zmęczenie i smutek. Jego długie brązowe włosy, mieniące w słońcu, opadały niemal na ramiona. Z przodu przycięte były równo w gęstą grzywę sięgając czarnych brwi.

No i ten strój! Miał ciasno dopasowane buty miękkiej brązowej skóry ze spiczastymi noskami i nosił coś, co wyglądało jak długie pończochy, czy może rajstopy - również brązowe. Na koszuli miał kamizelkę bez rękawów - tak samo zieloną jak liście na drzewach - z wyszytym na piersi złotym haftem. Kamizelka była ciasno ściśnięta biodrach szerokim pasem, z którego zwieszała się pochwa sztyletu i sakiewka. W ręku trzymał długi łuk, którym podtrzymywał gałęzie wierzby. Wzrok utkwiał na rodzeństwie Lowrych i patrzył na nich z równym zdziwieniem, jak oni na niego.

Sara podniosła się, strzepując gałązki i piasek ze spodni.

- Prosimy bardzo - powiedziała i dodała zaraz - proszę pana - ponieważ wydawało się jej to jakoś właściwe i odpowiednie, zupełnie jakby obcy był pułkownikiem sprawdzającym posterunki. - Czy zje pan lunch?

Młody człowiek wciąż wyglądał na zdezorientowanego. Ale wyraz nieufności, jaki widać było na początku, zniknął z jego twarzy.

- Lunch? - powtórzył słowo z zaciekawieniem, nadając mu obcy akcent.

Eryk przełknął to co miał w ustach, wskazał na talerze i rzekł:

- Jedzenie!

- O, proszę! - Sara sięgnęła po zielony talerzyk i wyciągnęła go w geście zaproszenia. - Otwórz lemoniadę, Grzegorzu, zanim Eryk zakrzusi się na śmierć. - Widocznie ostatni kęs trafił w niewłaściwą dziurkę w gardle Eryka, i to sprawiło, że zaczął kaszleć.

Nagle młody człowiek roześmiał się i podszedł bliżej. Pochylił się, żeby klepnąć Eryka w plecy. Chłopiec krzyknął i wreszcie przełknął. Grzegorz nalał teraz trochę lemoniady do filiżanki i podał ją bratu.

- Łakomczuch! - rzucił oskarżycielskim tonem. - Następnym razem nie próbuj połknąć pół kanapki od razu. - Potem kucnął, żeby napełnić pozostałe trzy filiżanki. Zieloną podał obcemu.

Przybysz wziął filiżankę i obracał ją w palcach, jakby plastik był dla niego czymś nieznanym. Wreszcie wypił jej zawartość, a potem skomentował:

- Dziwne wino. Chłodzi znakomicie gardło, ale wydaje się, jakby było zrobione z winogron, które rosły w śniegu.

- To nie wino, proszę pana - pośpieszyła z wyjaśnieniem Sara. - To zwykła mrożona lemoniada. A to masło orzechowe - wskazała na kanapki. - A to jest szynka. Tu są gotowane na twardo jajka, pikle i trochę ciastek. Pani Steiner robi naprawdę dobre ciastka.

Młody mężczyzna zgarnął na swój talerz wszystkiego po trochu, na końcu podniósł jajko.

- Oto sól... - Grzegorz popchnął w jego kierunku solniczkę.

Eryk przestał wprawdzie kaszleć, ale wciąż był czerwony na twarzy. Złapał jednak dech na tyle, żeby zadać pytanie.

- Czy mieszka pan gdzieś tu w okolicy?

- Mieszkać tutaj? Nie, nie tak blisko granicy. Nie jesteście stąd?

- Przyszliśmy przez bramę w ścianie - wyjaśnił Grzegorz. - Tam był zamek...

- Mały zamek na wyspie - przerwała mu Sara. - I w jego ścianie była brama cała wypełniona kamieniami. Chłopcy je stamtąd wydobyli i mogliśmy przejść.

Słuchał jej równie uważnie, jak wcześniej patrzył na jedzenie.

- Chłopcy? - powtórzył zdziwiony. - Ale czy wy wszyscy nie jesteście chłopcami?

Sara spojrzała na swoich braci i na siebie. Ich spodnie faktycznie wyglądały podobnie, tak samo koszulki. Ale jej włosy... nie, jej włosy były o wiele krótsze niż włosy młodego mężczyzny.

- Nazywam się Sara Lowry i jestem dziewczynką - oznajmiła lekko zawstydzona i po raz pierwszy w życiu zirytowana tym, że wzięto ją za chłopca, gdyż jak dotąd taka pomyłka zawsze ją raczej bawiła. - To mój starszy brat Grzegorz - wskazała palcem, zupełnie nie troszcząc się o dobre maniery. - A to jest Eryk.

Młody człowiek położył rękę na swej piersi i uklonił się. Był to bardzo dworny gest, ale Sara nie poczuła się bynajmniej z tego powodu głupio czy nieswojo. Utwierdziło ją to raczej w tym, że wzięto ją za osobę dorosłą i bardzo ważną.

- A ja jestem Huon, Strażnik Zachodu - jego palec - wskazujący nakreślił wzór wyszyty złotą nitką na zielonym odzieniu. Sara spostrzegła łuski zwiniętego w kłębek smoka z groźnymi pazurami i szeroko otwartą paszczą. - Zielony Smok, Artur bowiem jest Czerwonym Smokiem Wschodu.

Grzegorz odłożył kanapkę, którą miał właśnie rozpakować. Wpatrzył się przenikliwie w Huona, a jest usta złożyły się w wąską linię. Tak zachowywał się zawsze, gdy myślał, że ktoś sobie z niego żartuje.

- Masz na myśli Artura Pendragona. Ale to tylko legenda. Baśń.

- Tak, właśnie Artur Pendragon - młody człowiek kiwnął zachęcająco głową. - A więc słyszałeś o Czerwonym Smoku? Ale nie o Zielonym?

- Huon! Huon z Rogiem - ku ogromnemu zdziwieniu Sary powiedział Eryk. - I sędzę, że gdzieś tam jest Roland? - dodał, wskazując w kierunku lasu.

Ale teraz młody człowiek potrząsnął smutno głową, a jego uśmiech zniknął.

- Nie. Roland poległ pod Roncesvalles, na długo zanim zaczęła się moja służba tutaj. Szkoda, że nie ma drugiego takiego jak on. Przydałby się, żeby wzmocnić teraz nasze szeregi. Ale nazwałeś mnie właściwie, młody człowieku. Kiedyś byłem Huonen z Rogiem. Teraz jednak jestem Huonem bez Rogu i złą jest rzeczą, że tak się stało. Ale jestem również Strażnikiem Zachodu i dlatego muszę zapytać was, co tutaj robicie. Nie wzywaliśmy was. Brama, o której mówicie, została otwarta, a potem zamknięta, gdy Merlin Ambrosius wrócił z informacją, że nasze światy zbytnio oddaliły się od siebie czasie i przestrzeni, by ludzie mogli odpowiedzieć nasze wołanie. Jednak wy przyszlście... - znów zmarszczył brwi. - Czyżby nieprzyjaciel miał tym coś wspólnego?

- Chciałabym, żeby ktoś mi to wyjaśnił - powiedziała cicho Sara. Bardziej niż kiedykolwiek pragnęła wiedzieć, gdzie się znajdują. Młody człowiek chyba ją zrozumiał, gdyż teraz mówił bezpośrednio do niej.

- Do tej krainy - rzekł i zatoczył ręką szerokie półkole - wiodły niegdyś cztery bramy. Brama Niedźwiedzia na północy od dawna jest dla nas niedostępna, gdyż nieprzyjaciel od wielu lat okupuje Ziemię, na której ona się znajduje. Bramę Lwa na południu sami zamknęliśmy potężnym zaklęciem, a więc jest bezpieczna. Brama Dzika, która leży na wschodzie, została zapomniana tak dawno temu, że nawet Merlin

Amibrosius nie potrafi powiedzieć nam, gdzie dokładnie była - a może wciąż jeszcze jest. A Brama Lisa jest tu, na zachodzie. Jakiś czas temu Merlin otworzył ją na nowo tylko po to, aby się - przekonać, że nie może już więcej dotrzeć do ludzkich umysłów. Wtedy nasze obawy wzrosły... - Huon przerwał i usiadł spoglądając do wnętrza filizanki, jakby widział tam nie lemoniadę, ale inne, nieprzyjemne rzeczy. - I brama została zamknięta, aż do momentu, gdy wy ją otworzyliście - dokończył i zamilkł.

- Widziałam tam lisa... - Sara nie bardzo wiedziała, czemu to powiedziała. Huon uśmiechnął się do niej.

- Tak, Rufus to dobry wartownik. Obserwował wasze przyście. To on mnie wezwał. Mieszkańcy lasu chętnie nam pomagają, odkąd nasze losy zaczęły kroczyć wspólnymi ścieżkami.

- Ale co to za kraina i kto jest waszym wrogiem? - zapytał zniecierpliwiony Grzegorz.

- Ma ona wiele nazw w waszym świecie... Awalon, Awanan, Atlantyda. Prawie tak dużo, ilu jest ludzi, którzy wymieniają jej nazwę. Nigdy o niej nie słyszeliście? Musieliście słyszeć, jeśli znacie legendę o Arturze Pendragonie! - i tu uprzejmie skłonił głowę w stronę Eryka. - I o mnie, Huonie, niegdyś z Rogiem. Ponieważ to jest kraina, do której zarówno Artur jak i ja zostaliśmy wezwani. A może zapomniano już o tym w świecie ludzi? - zakończył trochę smutno.

Artur Pendragon - to był Król Artur od Okrągłego Stołu - przypomniała sobie teraz Sara. Ale Huon? Nie słyszała nic o nim i chętnie zapytałaby o niego Eryka.

Grzegorz tymczasem utkwiał wzrok - nie w Huonie - lecz w skrawku ziemi między jego nogami, gdzie za pomocą łyżki z piknikowego koszyka kopał dołek.

- Ależ to niemożliwe - wymamrotał. - Król Artur jest tylko legendą. Prawdziwy Artur był Brytem, który walczył z Sasami. Nigdy nie miał Okrągłego Stołu ani żadnych rycerzy! Pan Legard opowiadał nam o nim na historii w zeszłym semestrze..Cała reszta - Okrągły Stół i rycerze - została wymyślona w średniowieczu. Takie legendy opowiadano sobie na ucztach - tak jak teraz w telewizji.

Huon potrząsnął głową.

- Być może, że w waszym świecie jest to tylko legenda. Ale teraz naprawdę jesteście w Awalonie. Tak jak ja jem wasz pokarm i piję to dziwne, choć odświeżające wino. No i Rufus przepuścił was przez Bramę Lisa bez sprzeciwu. A zatem tak stać się miało, musieliście tutaj przyjść.

Rozdział 3

Zimne żelazo

- To, że przeszliście przez bramę cali i zdrowi - ciągnął Huon - znaczy, że nie zostaliście wysłani ani wezwani przez nich - podniósł rękę w szybkim ruchu, kreśląc w powietrzu znak, którego dzieci nie rozumiały.

- Przez nich? - zapytała Sara, zanim ugryzła kanapkę. Ta rozmowa o bramie była bardzo uspokajająca, ponieważ znaczyła, że mogą wrócić tą samą drogą, którą przyszli.

- Przez nieprzyjaciół - odparł Huon. - Przez Siły Ciemności, które toczą wojnę z wszystkim co dobre, szlachetne i sprawiedliwe. Czarni magowie, wiedźmy, czarownicy, wilkołaki, upiory, ogry - wróg ma co najmniej tyle imion i twarzy co Awalon, ma wiele kształtów i postaci, czasami pięknych, ale przeważnie podłych i wstrętnych dla oka. Są one jak cienie wśród mroku. Już od dawna usiłują zniszczyć Awalon, a przez to odnieść zwycięstwo nad innymi światami - między innymi nad waszym. Pomyślcie o tym, czego się boicie i nienawidzicie najbardziej, a będzie to część wrogich nam Sił Ciemności. Grozi nam tutaj wielkie niebezpieczeństwo, gdyż przez zaklęcia i zdradę utraciliśmy trzy talizmany: Ekskalibur, pierścień Merlina i róg - wszystkie w ciągu trzech dni. A jeśli pójdziemy w bój bez nich... - Huon potrząsnął głową - ...będziemy walczyć jak ludzie zakuci w ciężkie kajdany. - Nagle zadał im pytanie: - Czy posiadacie przywilej zimnego żelaza?

Gdy spojrzeli na niego ze zdumieniem, wskazał na jeden z noży z koszyka.

- Z jakiego jest zrobiony metalu?

- Z nierdzewnej stali - odpowiedział Grzegorz. - Ale co to ma wspólnego...

- Z nierdzewnej stali - przerwał mu Huon. - Ale nie macie żelaza, zimnego żelaza, wykutego przez śmiertelnika w świecie ludzi? A może wam również jest potrzebne srebro?

- Właściwie to mamy trochę srebra - odezwała się Sara. Wyciągnęła z kieszonki swojej koszuli związaną chusteczkę, w którą zawinięta była reszta jej tygodniówki, monety dziesięcio - i piętnastocentowa.

- O co tu chodzi, z całym tym żelazem i srebrem? - chciał wiedzieć Eryk.

- O to! - Huon wyjął sztylet z pochwy u pasa. W cieniu wierzby ostrze zaśniło tak jasno, jakby trzymano je w pełnym słońcu. A gdy obrócił go w palcach, metal błysnął ognistymi płomykami, zupełnie jak paląca się kłoda drewna strzelająca

wokoło iskrami. - To robota krasnali, srebro - nie zimne żelazo. Gdyż nikt kto urodził się w Awalonie, nie może trzymać żelaznego ostrza, inaczej spłonie mu ręka.

Grzegorz uniósł łyżkę, którą grzebał w ziemi.

- Stal to też żelazo, a mnie nie pali.

- Ach! - Huon uśmiechnął się. - Ale ty nie jesteś przecież z Awalonu. Tak jak nie jestem stąd ja ani Artur. Kiedyś władałem żelaznym mieczem, a do bitwy szedłem w kolczudze z żelaza. Ale tutaj, w Awalonie, musiałem się ich pozbyć, gdyż boleśnie raniły tych, którzy szli za mną. A więc noszę wykute przez, krasnoludy srebrne ostrze i srebrną zbroję, tak samo Artur. Tutaj żelazo przekreśla dobre wróżby, dla elfów jest to trucizna powodująca głębokie, nie gojące się rany. W całym Awalonie były kiedyś tylko dwa kawałki prawdziwego żelaza. A teraz zostały nam odebrane...

prawdopodobnie na naszą zgubę. - Ponownie obrócił lśniący sztylet w palcach, porażając ich oczy jego blaskiem.

- Co to za dwa żelazne przedmioty, które straciliście? - zapytała palona ciekawością Sara.

- Czy słyszeliście o mieczu zwanym Ekskalibur?

- To miecz Artura, ten, który wyciągnął ze skały - powiedział Grzegorz i zauważył, że Huon śmieje się z niego po cichu.

- Ale Artur to tylko legenda. Sam tak mówiłeś. Jednak coś mi się zdaje, że dobrze znasz tę legendę.

- Pewnie - wtrącił niecierpliwie Eryk. - Wszyscy wiedzą o królu Arturze i jego mieczu. O rety, sam o tym czytałem, kiedy byłem mały. Ale to nie znaczy, że to prawda - zakończył trochę wojowniczo.

- I Ekskalibur jest jedną z rzeczy, które straciliście? - zapytała znowu Sara.

- Nie straciliśmy. Jak powiedziałem, został nam skradziony za pomocą czarów i ukryty innym zaklęciem, którego nawet Merlin nie potrafi złamać. Ekskalibur zniknął, tak jak pierścień Merlina. To był również przedmiot wykonany z żelaza i posiadający wielką moc, gdyż jego właściciel mógł wydawać rozkazy zwierzętom i ptakom, rządzić drzewami i ziemią. Miecz, pierścień i róg...

- Czy on również był z żelaza?

- Nie. Ale to magiczny przedmiot. Ofiarował mi go król elfów Oberon, niegdyś wielki władca tej ziemi. Przedmiot ten może zarówno pomagać, jak i niszczyć. Kiedyś o mało mnie nie zabił, wiele razy przychodził mi z pomocą. Ale teraz nie mam rogu i straciłem przez to wiele ze swojej mocy, co może się okazać złą

rzeczą dla Awalonu!

- Kto te przedmioty ukradł? - zapytał Eryk.

- Wróg, któż by inny? Gromadzi teraz wszystkie swe siły, żeby nas zaatakować i zniszczyć nasze zabezpieczenia swoimi czarami. U Świtu Dziejów postanowiono, że Awalon ma stać jako ściana pomiędzy ciemnością a waszym śmiertelnym światem. Gdy zwyciężamy zło i trzymamy je mocno w garści, wtedy pokój panuje w waszym świecie. Ale niech tylko ciemna fala się ruszy i zacznie odnosić zwycięstwa, zaraz wy odczuwacie, co to są kłopoty, wojny, zło. Awalon i wasz świat są dla siebie w jakiś sposób zwierciadłami i nawet Merlin Ambrosius nie potrafi tego zrozumieć, chociaż zna serce Awalonu i jest największym człowiekiem, jaki się kiedykolwiek zrodził z śmiertelnej kobiety i króla elfów. To, co dzieje się z nami, musi i was dotknąć. A teraz ciemność rośnie w siłę. Na początku sączyła się cicho, prawie niedostrzegalnym strumieniem, dziś ośmiela się wyzywać nas do otwartej walki. A bez naszych talizmanów, któż - czy człowiek, czy czarodziej - może przewidzieć, co się stanie z Awalonem i jego bratnim światem?

- Ale dlaczego chciałeś wiedzieć, czy możemy dotykać żelaza? - zapytał Grzegorz.

Przez chwilę Huon się wahał, podczas gdy jego wzrok wędrował z chłopców na Sarę. Wreszcie zaczerpnął głęboki oddech, jakby miał wskoczyć do wody, i powiedział:

- Kiedy ktoś przechodzi przez którąś z bram, dzieje się tak dlatego, bo został wezwany i oczekuje tu na niego jakieś przeznaczenie. Tylko bardzo potężna magia może na nowo otworzyć dla niego drogę wyjścia z Awalonu. A zimne żelazo jest właśnie waszą magią, tak jak my mamy inne czary dla siebie.

Eryk zerwał się na równe nogi.

- Nie wierzę ci. To wszystko jest tylko wymyśloną historią, a my w tej chwili wracamy tam, skąd przyszliśmy. Chodźcie, Grzegorzu, Saro, idziemy!

Grzegorz podniósł się powoli. Sara w ogóle się nie ruszyła.

- Znaczyłeś szlak od bramy, prawda? - krzyknął Eryk i szarpnął brata za ramię.
- Pokaż mi gdzie. Chodź, Saro!

Dziewczynka zaczęła pakować koszyk.

- W porządku. Idź pierwszy.

Eryk odwrócił się i pobiegł. Sara spojrzała prosto w brązowe oczy Huona i zapytała:

- Czy brama naprawdę jest zamknięta? Czy nie możemy stąd odejść, dopóki wasza magia nam nie pozwoli? - Sara nie miała pojęcia, skąd to wie, ale była pewna, że mówi prawdę.

- Ja nie mogę wam w żaden sposób pomóc - powiedział smutno Huon. -
Chociaż władam różnymi mocami, żadna z nich nie ma kontroli nad bramą. Sądzę, że nawet Merlin nie potrafi jej dla was otworzyć, jeśli faktycznie zostaliście wezwani i dopóki sami nie dokonacie wyboru...

Grzegorz podszedł do Huona.

- Jakiego wyboru? Chodzi ci o to, że musimy tu zostać, aż czegoś nie zrobimy? Ale czego? Może mamy odzyskać Ekskalibur, czy ten pierścień albo róg?
Huon wzruszył ramionami.

- Nie mnie o tym decydować. Prawdy możemy dowiedzieć się tylko w Caer Siddi, Czworobocznym Zamku.

- Czy to daleko stąd? - zaintrygowała się Sara.

- Jeśli się idzie pieszo, to może, ale dla Rumaka ze Wzgórz to żadna podróż.

Huon wyszedł z cienia wierzby w pełne słońce na brzeg rzeki. Przyłożył palec do ust i przenikliwie zagwizdał.

Odpowiedź nadeszła z nieba ponad nimi. Sara otworzyła szeroko oczy, a Grzegorz krzyknął ze zdumienia. Rozległ się plusk rozpryskiwanej pod kopytami wody i trzepot olbrzymich skrzydeł. Dwa czarne konie stanęły w płytkiej rzece, której zimne wody obmywały ich nogi. Ale cóż to były za konie! Żebrowate skrzydła - takie jak u nietoperzy - złożyły się wzdłuż mocarnych boków, gdy konie wstrząsnęły głowami i zadrżały na powitanie mężczyzny, który je wezwał. Nie miały siodeł ani uzd, ale było jasne, że przybyły, aby służyć Huonowi.

Jeden parsknął i schylił głowę, żeby się napić, a w chwilę potem podniósł ociekający wodą pysk. Drugi podbiegł kłusem do brzegu i wyciągnął głowę w kierunku Grzegorza, przypatrując mu się z inteligentnym zainteresowaniem.

- To jest Khem, a to Sitta - rzekł Huon, a gdy wymawiał ich imiona, oba konie skinęły głowami i zarżały radośnie. - Podniebne ścieżki są im równie dobrze znane co ziemskie drogi. Zaniosą nas do Caer Siddi przed zachodem słońca.

- Grzegorz! Sara! - krzyknął Eryk, wybiegając z lasu. - Tam nie ma bramy. Są tylko dwa drzewa stojące blisko obok siebie!

- Czyż nie mówiłem, że czas powrotu jeszcze nie nadszedł? - powiedział Huon. - Musicie najpierw znaleźć właściwy klucz.

Sara ścisnęła mocniej koszyk. Uwierzyła w to od początku, ale to co powiedział Eryk, było w jakiś sposób niepokojące.

- W porządku - rzekł Grzegorz i podszedł do uskrzydłonych rumaków. - Ruszajmy więc. Chcę dowiedzieć się czegoś o kluczu i o tym, jak się dostać z powrotem do domu.

Eryk ruszył za Sarą, trąc ręką koszyk i powiedział:

- Nie możesz go ze sobą ciągnąć. Zostaw koszyk tutaj.

Huon przyszedł jej z pomocą.

- Ona mądrze czyni, Eryku. Ponieważ to jest również jeden z czarów Awalonu: ci, którzy jedzą wyłącznie tutejszy pokarm, piją tylko miejscowe wina i wodę - nie mogą łatwo opuścić granic tej krainy, chyba że poddadzą się poważnym zmianom. Strzeżcie reszty swojej żywności i napoju i dodawajcie je do naszych potraw, gdy będziecie coś jedli.

Grzegorz i Eryk dosiedli Sitty. Eryk objął brata mocno w pasie, a Grzegorz wczepił się rękoma w końską grzywę. Huon posadził Sarę przed sobą na Khemie. Konie zaczęły kłusować, potem przeszły do galopu, aż wreszcie ich skrzydła rozpostarły się na całą szerokość. Wzniesli się wtedy wysoko ponad skapaną w słońcu wodą i koronkową zieleń drzew.

Khem zatoczył koło i skierował się na południowy wschód, Sitta trzymała się go skrzydło w skrzydło. Stado dużych czarnych ptaków poderwało się z pola i leciało z nimi przez chwilę, wydając skrzeczące, przenikliwe głosy, póki konie nie zostawiły ich w tyle.

Z początku Sara bała się spojrzeć w kierunku ziemi. Zaciśnęła mocno powieki, zadowolona z obejmującego ją ramienia Huona i z solidnego oparcia, jakie stanowiło jego ciało. Sama myśl o tym, co leżało pod nimi, przyprawiała ją o zawroty głowy... Nagle usłyszała śmiech i słowa Huona.

- Hejże, pani Saro, to nie jest taki zły sposób podróżowania. Ludzie od dawna zazdrościli ptakom wolności, którą im dają skrzydła, a to jest szczyt osiągnięcia śmiertelnika, jeśli chce latać tak jak one, chyba że zostanie na niego rzucony urok i nie będzie już więcej człowiekiem. Nie powierzyłbym cię jakiemuś niedoświadczonemu żrebackowi nie znającemu podniebnych pastwisk. Ale Khem to niezawodny wierzchowiec i nie będzie nam płatał żadnych figli. Czyż nie mam racji, Ojciec Chyżych Rumaków?

Koń zarżał, a Sara odważyła się otworzyć oczy. Oglądanie przemykającej pod

spodem zielonej krainy okazało się nawet całkiem przyjemne. Wreszcie w przodzie przed sobą zobaczyli błysk światła, przypominający nieco iskry rzucane przez sztylet Huona, ale znacznie, znacznie silniejszy. To było słońce odbijające się od dachów czterech wysokich wież, połączonych w kwadrat przez ściany z szarzielonego kamienia.

- To jest Caer Siddi, Czworoboczny Zamek. Jest on zachodnią strażnicą Awalonu, podczas gdy Kamelot strzeże naszych granic na wschodzie. No, Khem, uważaj przy lądowaniu! Widzę jakieś zgromadzenie wewnątrz murów!

Zatoczyli koło wysoko ponad czterema wieżami zamku. Sara spojrzała w dół. Pod nimi poruszali się ludzie. Na najwyższej wieży trzepotała chorągiew - równie zielona jak odzienie Huona. Na niej także widniał wyszyty w złocie smok.

Nagle wokół nich wyrosły wysokie ściany i Sara ponownie szybko zamknęła oczy. W tej samej chwili ręka Huona ścisnęła ją mocniej, a Khem przeszedł z lotu w kłus. Byli na ziemi.

Dookoła tłoczyło się tak wiele ludzi, że z początku Sara zauważyła tylko ich dziwaczne ubrania. Stała na nogach, zadowolona, że Grzegorz i Eryk przyłączyli się do niej.

- A niech to! Ale podróż! - wyrzucił z siebie Eryk. - Chociaż założę się, że odrzutowiec by je pokonał!

Grzegorza bardziej interesowało to, co ich aktualnie otaczało.

- Łucznicy! Spójrzcie tylko na te łuki!

Sara podążyła za wskazówką brata. Wszyscy łucznicy byli ubrani podobnie, prawie tak samo jak Huon, ale nosili również kolczugi zrobione z wielu połączonych ze sobą srebrnych kółek, a na nich mieli szare narzuty z zielono-złotymi smokami na piersiach. Ich srebrne hełmy przylegały ciasno do twarzy, tak że ciężko było rozróżnić ich rysy. Każdy miał łuk dopasowany do swojego wzrostu i przewieszony przez ramię. Miał też wypełniony strzałami kołczan.

Za linią łuczników zgromadził się kolejny zastęp mężczyzn. Oni również nosili kolczugi i bluzy ze znakiem smoka. Nosili też - spięte pod szyją - długie, zielone peleryny. Łuki natomiast zastępowały im przypasane u boku miecze, a ich hełmy były zwieńczone małymi, zielonymi piórkami.

Za mężczyznami uzbrojonymi w miecze stały kobiety. Na ich widok Sara uświadomiła sobie swój wygląd. Miała na sobie dzinsy i koszulkę, która rano była wprawdzie czysta, ale teraz lepiała się od brudu, a w paru miejscach była rozdarta. Nic

dziwnego, że Huon wziął ją za chłopca, skoro kobiety w Awalonie ubierały się w tak wytworny sposób! Większość z nich miała włosy splecione w długie warkocze, poprządkane skrzącymi się niemi. Długie były także ich kwieciste suknie, ściągnięte w talii zdobnymi w klejnoty paskami. Luźne rękawy ich strojów zwieszały się aż do ziemi.

Jedna z dam - z ciemnymi włosami falującymi wokół jej twarzy, ubrana w błękitnozieloną suknię marszczącą się przy każdym ruchu - zbliżyła się do nich. Na głowie nosiła diadem ze złota i pereł, a wszyscy rozstępowali się przed nią, jakby była królową.

Huon podszedł do niej i rzekł: - Pani Awalonu, oto ta trójka, która weszła przez Bramę Lisa, oczywiście za jego pozwoleniem i bez żadnych przeszkód. To jest pani Sara i jej bracia, Grzegorz i Eryk. A to jest pani Claramonde - moja żona i Wielka Dama Awalonu.

W tej sytuacji powiedzieć po prostu „cześć!” wydawało się nie na miejscu. Dlatego też Sara uśmiechnęła się tylko nieśmiało, a dama odwzajemniła uśmiech. Potem położyła dłonie na ramionach Sary i - ponieważ Sara była niska - musiała trochę się nachylić, żeby pocałować dziewczynkę w czoło.

- Witamy, po trzykroć witamy - powiedziała pani Claramonde i znowu się uśmiechnęła. Potem odwróciła się do Eryka i obdarowała go też pocałunkiem na powitanie, czym go ogromnie zaskoczyła. Wreszcie zwróciła się do Grzegorza.

- Obyście należycie wypoczęli w tych murach! Niech pokój będzie z wami.

- Dzięki - wykrztusił Eryk. Grzegorz za to, ku zdziwieniu Sary, wykonał całkiem elegancki ukłon i wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego.

Była jeszcze jedna osobistość, która chciała ich powitać. Tłum rycerzy i łuczników utworzył przed nią szpaler, podobnie jak poprzednio damy rozstały się przed panią Claramonde. Idąca w ich kierunku postać nie była jednak żołnierzem. Był to wysoki mężczyzna w prostej, szarej szacie, na której pasma czerwieni skręcały się i zwiły w dziwne wzory. Jego włosy - równie szare jak szata - spadały mu w gęstych lokach na ramiona i dalej na piersi, gdzie łączyły się z szeroką brodą. Miał oczy tak jasne, że podobnych nigdy w życiu Sara nie widziała - oczy, które sprawiały, że gdy ktoś w nie patrzył, to zdawało mu się, że spogląda prosto w czyjś umysł i czyta z niego, dobre i złe wiadomości.

Człowiek ów zamiast pasa nosił szarfę koloru matowej czerwieni, która doskonale harmonizowała ze wzorami na jego szacie. A gdy wpatrzyło się w nią

uważnie, zdawało się, że szarfa porusza się i żyje jakby własnym życiem.

- A więc po długim oczekiwaniu wreszcie przybyli - odezwał się, przyglądając się rodzeństwu Lowrym surowo.

Sara poczuła się nieswojo, ale gdy te oczy zwróciły się bezpośrednio na nią, pozbyła się strachu, a może nawet przerażenia. Nigdy dotąd nie widziała podobnego człowieka, ale była pewna, że człowiek ów nie wyrządzi jej krzywdy. Wręcz przeciwnie, wyczuła jakąś więź łączącą ich, coś przepływało pomiędzy nimi, dając jej ufność i pewność, a zabierając lekki niepokój, który towarzyszył jej od czasu, gdy przeszła przez bramę.

- Tak, Merlinie. Przybyli w dobrych zamiarach. Miejmy nadzieję, że w dobrych! - Głos Huona zabrzmiał bardzo cicho i Sara pomyślała, że on również - pomimo całej swojej powagi - patrzył na Merlina jak na kogoś większego i potężniejszego od siebie.

Rozdział 4

Lustro Merlina

- Nie podoba mi się to. Musimy się stąd wydostać, zanim coś się stanie - powiedział Eryk i wyrzwał przez jedno z okienek zamkowych. - Już niedługo zajdzie słońce. Co będzie, jeśli nie wrócimy do domu na kolację?

Sara - siedząc na wyściełanym aksamitem taborecie, z koszykiem między stopami - roześmiała się głośno i odparła:

- Pani Steiner dostanie ataku wściekłości, oto co będzie. W każdym bądź razie Huon i pani Claramonde są mili i sądzę, że nie pozwolą na to, żeby stało się nam coś złego. A zresztą jak mielibyśmy wrócić, jeśli brama zniknęła? Poza tym to wiele mil stąd, a my nie znamy drogi powrotnej.

- Nie? No cóż, założę się, że te pegazy ją znają. Moglibyśmy wziąć takie dwa i...

- A jak masz zamiar to zrobić? - zapytał Grzegorz, wychodząc z cienia skrywającego drzwi komnaty. - Tu jest wszędzie pełno ludzi, którzy na pewno będą zadawali pytania, jeśli spróbujemy stąd wyjść. Poza tym, co cię skłoniło do przypuszczenia, że konie będą chciały nas słuchać? Sara ma rację, mówiąc jaki jest sens wracać do bramy, jeśli jej już tam nie ma?

Grzegorz wyglądał tego ranka w zasadzie tak jak przedtem, choć wydawał się szczuplejszy, bo na jego policzkach widniały ciemne smugi. Policzki wymagały umycia, a gęste włosy uczesania. A jednak był inny, może inny wewnątrz - pomyślała Sara. Gdy mówił, spokojnie i rzeczowo, jego głos brzmiał prawie tak jak głos taty.

- Uważasz więc, że mamy tu zostać, dopóki oni nie pozwolą nam odejść? - wybuchnął Eryk.

Sara obróciła się ku niemu i oburzona zawołała:

- To niesprawiedliwe i ty, Eryku Lowry, dobrze o tym wiesz. Nikt nas tu nie więzi. Czyż Huon nie powiedział nam, już na samym początku, że nie potrafi otworzyć nam bramy?

Eryk zrobił krok w jej kierunku i stanął przed nią z rękoma na biodrach.

- A ty jesteś gotowa uwierzyć we wszystko, co oni ci mówią!

- Cicho! - uciał kłótnię Grzegorz, teraz bardziej niż kiedykolwiek przypominając tatę.

Eryk obrócił się, wściekły, chcąc bratu odpowiedzieć, ale ten ciągnął dalej:

- Sara ma rację. Jeśli część tego co nam powiedzieli jest prawdą, wszystko musi być prawdą. Jesteśmy w zamku, prawda? W autentycznym zamku króla Artura. A jak się tutaj dostaliśmy? Na parze uskrzydłonych koni. W dodatku - dodał po namyśle - Merlin nie wygląda na oszusta. I powiedział, że chce z nami porozmawiać.

- Jemu też nie ufam! - warknął wyzywająco Eryk.

- Nie ufasz mi więc, młodzieńcze?

Sara zerwała się na równe nogi, Eryk podskoczył. Byli zwrócenii twarzą do jedynych w pokoju drzwi, ale nie zauważyli wejścia Merlina. A jednak teraz stał tam, spoglądając na nich swymi jasnymi oczyma.

- Eryk wcale tak nie myślał... - zaczęła pośpiesznie Sara.

- Och, sądzę, że tak! - Merlin przyczesał swoją brodę palcami prawej ręki, podczas gdy palce lewej spoczęły na szarfie, którą był przepasany. W kamiennym pokoju wydawał się nawet wyższy niż na dziedzińcu, a szarość jego szat zlewała się z szarością ścian, tak że mógł niemal uchodzić za nieodłączną część zamku. Usadowił się wreszcie w krześle z wysokim oparciem i spojrzał uważnie na rodzeństwo Lowrych, gdy tak stali przed nim zakłopotani.

- Eryk ma jak najbardziej rację - kontynuował Merlin po chwili, w ciągu której ich zażenowanie wzrosło. - Tak, ma zupełną rację, że mi nie ufa, Saro.

- Dlaczego?

- Ponieważ dla mnie najważniejsze jest dobro Awalonu. Przez wiele lat, nie zliczylibyście ich na kamieniach tych murów, trzymam wartę jako jeden z trzech strażników tej ziemi. Artur dzierży miecz i włócznie na wschodzie, Huon stoi ze swymi elfami na zachodzie - gdzie są jak ściana, o którą rozbijają się wrogie zastępy. A ja gromadzę inne potęgi i moce, żeby ich wzmocnić. Nie tak dawno temu przekroczyłem przepaść czasu i przestrzeni, by otworzyć Bramę Lisa - ja, Merlin Ambrosius - jedyny człowiek, który kroczył tą drogą w długiej historii Awalonu.

- W takim razie pan jest panem Brosiusem! - przerwał Grzegorz.

Merlin pociągnął swoją brodę.

- Więc jeszcze mnie nie zapomniano? Czas w waszym świecie nie odpowiada czasowi w naszym świecie. Tutaj płynie znacznie szybciej niż u was. Tak, otworzyłem bramę i szukałem tych, którzy by nam pomogli w nadchodzącej walce. Ale... - jego głos zabrzmiał teraz smutno - nie było nikogo o prawym sercu i czystym umyśle, nikogo kogo moglibyśmy wezwać, tak jak kiedyś moce tej krainy wezwały Artura, Huona i mnie. Teraz wygląda na to, że Brama dokonała własnego wyboru,

akurat w czasie gdy oczekujemy nowego, silniejszego ataku sił zła.

- Huon powiedział nam o utracie Ekskalibura, rogu i pańskiego pierścienia - powiedział Grzegorz.

- Czyżby? - krzaczaste brwi Merlina uniosły się w górę. - W takim razie możecie zrozumieć, dlaczego jesteśmy tak poruszeni waszym przybyciem. Tracimy trzy talizmany, a zaraz potem wy się pojawiacie. Jak inaczej można to wytłumaczyć, jeśli nie przez związanie waszego losu z naszą stratą?

- My nie ukradliśmy waszych rzeczy! - oburzył się Eryk.

- To wiemy. Ale możecie pomóc w ich odzyskaniu, jeśli zechcecie.

- A jeśli nie zechcemy? Czy wtedy wy nie pozwolicie nam wrócić do domu?

Czy mam rację? - Eryk gwałtownie zażądał odpowiedzi.

Merlin tylko na niego spojrzał i chłopiec zaczerwienił się cały. Teraz Grzegorz zdecydował, że czas na jego pytanie.

- Czy to prawda, proszę pana? Czy nie możemy wrócić do domu?

Merlin siedział przez dłuższą chwilę w ciszy i Sara nagle poczuła się zawstydzona i odniosła dziwne wrażenie, jakby zrobiła coś złego, chociaż wcale się nie odzywała. A twarz Eryka zrobiła się jeszcze bardziej czerwona.

- Istnieje zaklęcie, które sprawi, że brama się otworzy, jeśli naprawdę tego chcecie.

- Ale wy uważacie, że przybyliśmy tutaj, aby wam pomóc, czy tak, proszę pana? - nalegał Grzegorz.

Merlin skinął głową. Kolorowa szarfa wokół jego pasa falowała, mieniła się i przyprawiała Sarę o zawroty głowy. Musiała zamknąć oczy i odwrócić się w drugą stronę.

- Wy, młodzieńcy, i pani, pani Saro, macie możliwości wyboru. Ale jeśli zdecydujecie się już nam pomóc, to będę musiał was ostrzec i przypomnieć, że nie jest łatwo podążać drogami wyznaczonymi przez lustro, a ten kto nimi wędruje, zawsze wraca zmieniony z takiej podróży.

- Czy prawdą jest także, że gdy wróg wygrywa tutaj bitwę, wtedy nasz świat jest również narażony na niebezpieczeństwo? - pytał dalej Grzegorz.

Merlin znów pochylił głowę.

- A czy wasz świat trwa teraz w pokoju, mój synu? Tutaj bowiem fala zła rośnie w siłę, staje się potężniejsza niż kiedykolwiek. Pytam cię zatem ponownie: czy wasz świat trwa w pokoju?

Sara zadrżała. Nie była całkiem pewna, co Merlin miał na myśli. Ale pamiętała wszystkie rozmowy, które słyszała po tamtej stronie bramy, o rzeczach, o których tata rozmawiał z mamą.

- Nie - padła odpowiedź Grzegorza - wciąż mówi się o nowej wojnie i o nuklearnym zagrożeniu.

- Awalon nadal trzyma się mocno, ale jak jeszcze długo będziemy w stanie trwać na posterunku. - Sara pomyślała, że oczy Merlina są tak jasne, że nie można w nie patrzeć. - Tego nikt, ani śmiertelny człowiek, ani elf nie może przewidzieć. Od was zależy czy nam pomożecie, czy nie.

- Tata jest żołnierzem w naszym świecie - powiedział Grzegorz. - A jeśli wybuchnie nowa wojna, ta, której wszyscy się obawiają, to czy stanie się tak dlatego, że wróg wygra tutaj?

- Wroga nigdy nie można całkowicie pokonać. Ani w Awalonie, ani w waszym świecie - odparł Merlin i westchnął. - Przywdziewa różne szaty, maszeruje pod wieloma różnymi sztandarami, ale zawsze istnieje. Naszą jedyną nadzieją jest trzymać go ciągle w defensywie, stawać z nim twarzą w twarz i nigdy nie dopuścić do jego pełnego zwycięstwa. Tak, jeśli wróg wygra tutaj, wtedy równie dobrze może wygrać w waszym czasie i w waszym świecie.

- W takim razie ja decyduję się postąpić zgodnie z pańskim życzeniem - odpowiedział Grzegorz. - W pewien sposób robię to dla taty - dodał i spojrzał pytająco na Sarę i Eryka.

- W porządku - niechętnie zgodził się Eryk. Wyglądał na przestraszonego i nieszczęśliwego, podobnie jak Sara.

Sara uchwyciła się koszyka, który był teraz jedynym rzeczywistym przedmiotem w tym dziwnym śnie, a jej głos brzmiał bardzo cicho i cienko, gdy powiedziała:

- Ja... ja też pomogę - chociaż wcale tego nie chciała.

Merlin wyprostował się na krześle. Teraz się uśmiechał i Sarze zrobiło się ciepło, gdy zobaczyła ten uśmiech, i poczuła się prawie szczęśliwa.

- W takim razie szukajcie uważnie naszych talizmanów, gdziekolwiek się znajdują i ktokolwiek ich strzeże! Pamiętajcie, zimne żelazo jest waszym sługą i waszą magią. Wzywajcie jej w razie potrzeby. A teraz czas zacząć!

Jego głos zabrzmiał tak donośnie, że zdało się, jakby ktoś dał w trąby. Sara zaczęła krzyżeć, jak wtedy przy bramie, gdy spowiła ją mgła. Wreszcie cały hałas

ustał.

Byli wciąż razem. Sara chwyciła Eryka i Grzegorza za ręce. Żaden z chłopców nie próbował się wyrwać.

Znaleźli się teraz w innym pomieszczeniu. W pokoju tym nie było okien, a światło dochodziło z pięciu kul, które wysyłały bladozielony ogień. Wisały tu też ogromne płachty sukna, takie jak Sara widziała kiedyś w muzeum. Sukno poruszało się jakby pod wpływem ukrytego prądu powietrza. Widniały na nim rysunki. Jacyś dziwni ludzie o owłosionych nogach ścigali się tam z jednorożcami, latały ptaki, a liście na drzewach zdawały się szeleścić, chociaż być może to tylko wiatr wywoływał taki efekt.

Czwarta ściana była zupełnie inna. Na rozległej, lśniącej powierzchni odbijało się wszystko to, co znajdowało się wewnątrz pokoju. Nie było jednak ani śladu Merlina. Sara ścisnęła teraz mocniej ręce braci. Żałowała, że nie poprosili o powrót do domu.

- Nie podoba mi się to miejsce - załkała, a echo powtórzyło słowo: miejsce, miejsce, miejsce...

Grzegorz wyzwolił rękę i podszedł do wielkiego lustra. Gdy stanął przed nim, położył swe dłonie płasko na jego powierzchni. Pozostała dwójka podążyła za nim z wahaniem.

- Co widzisz, Grzegorzu? - zapytali i Sara przysunęła się do niego z jednej strony, Eryk z drugiej. Oboje spojrzeli ponad jego ramiona na to, co widać było w lustrze.

Zdawać by się mogło, że wyglądają przez okno na otwartą przestrzeń, z tą jednak różnicą, że to, co leżało za lustrem, nie było zielono-złotym krajem, nad którym niesły ich pegazy, ale zupełnie inną krainą.

Inna też była pora dnia. Była noc. W świetle księżyca widać było mglisty zarys drogi, zaczynającej się tuż zaraz obok nich, biegnącej naprzód, wspinającej się wyżej i wyżej i niknącej wreszcie na horyzoncie gdzieś wśród gór. Wzdłuż drogi ciągnęły się kępy karłowatych drzew, w większości bezlistnych, powykrzywianych w dziwne, przerażające kształty, a ich cienie na ziemi przypominały gobliny czy jakieś inne stwory. I to było wszystko - po prostu biała droga znikająca w ciemnych i ponurych górach.

- To jest droga Grzegorza! Niech się uzbroi w zimne żelazo i idzie!

Czy to polecenie zostało wydane przez ludzi na gobelinach czy też nadeszło z

powietrza?

- Nie! - krzyknęła Sara. - Eryku, zatrzymaj go! - próbowała przytrzymać Grzegorza za ramię. - Tam jest strasznie ciemno! - Sara wiedziała, że Grzegorz nienawidził ciemności i miała nadzieję, że może to go powstrzyma.

Ale chłopiec po raz drugi wyrwał się z jej uchwytu.

- Nie bądź niemądra! Jeśli chcemy pomóc, musimy słuchać poleceń.

- To złe miejsce, Grzegorzu. Wiem, że tak jest! - odwróciła się, żeby ponownie spojrzeć na zewnątrz. Droga jednak zniknęła i w lustrze mogła zobaczyć już tylko odbicie pokoju i ich trojga.

- Niech się uzbroi w zimne żelazo - powtórzył zmieszany Eryk.

- Zimne żelazo! - Grzegorz przykucnął przy koszyku. - Pamiętacie, co Huon nam powiedział o mocy żelaza. To samo musi odnosić się do stali. - Otworzył teraz koszyk, żeby spojrzeć na widelce, noże i łyżki.

Sara usiadła przy nim, próbując zapomnieć o swoim strachu.

- A pamiętasz, co powiedział też o magii w pożywieniu? Że musimy zawsze jeść trochę własnych rzeczy razem z tutejszymi? Musisz wziąć coś do jedzenia. - Ręce jej się trzęsły, gdy wykładała kanapkę, jajko i parę ciastek na serwetkę, z której potem zrobiła paczuszkę.

Gdy Grzegorz wziął jeden z widelców z koszyka, Eryk powiedział ze śmiechem:

- Ty to nazywasz bronią? Wydaje mi się, że lepiej by było, gdybyś poprosiła o miecz, albo o jeden z tych dużych łuków. W końcu jeśli masz pomoc Awalonowi, powinni dać ci coś lepszego.

- Zimne żelazo, nie pamiętasz? A to jest w dodatku ostre. - Sprawdzał ząbki widelca na palcu. - To jest to, co mam wziąć. Wiedziałem, co wziąć! Dzięki za prowiant, Saro.

Z paczuszką w jednej ręce i widelcem w drugiej, Grzegorz jeszcze raz podszedł do lustra.

- Hej, Grzegorz, poczekaj chwilę! - Eryk próbował zagrozić mu drogę, a Sara krzyknęła rozpaczliwie.

- Grzegorz!

Ale w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że jej protest był bezsensowny, gdyż widać było, że Grzegorz już podjął decyzję.

Dotarli do lustra zbyt późno. Ich brat dotknął już jego powierzchni i w tej

samej chwili zniknął, chociaż Sarze zdawało się, że przez moment widziała mglistą postać na górskiej drodze.

Eryk dopadł do powierzchni lustra, za którą zniknął Grzegorz. Zaczął walić w nią pięściami.

- Grzegorz! - krzyknął, ale w odpowiedzi poruszyły się tylko gobeliny. W lustrze nie było już widać niczego poza odbiciem ich dwojga.

Sara wróciła do koszyka i nagle usłyszała krzyk Eryka. Tak jak przed chwilą jego brat, tak i Eryk opierał się rękoma o szkło i w coś się wpatrywał.

- Czy to Grzegorz? Widzisz go? - pytała Sara, podbiegając do lustra. Może uda im się przejść do niego i być razem z nim, pomyślała.

Ale ponad ramieniem Eryka nie zobaczyła skąpanej w księżycowym blasku drogi, ani wysokich gór. W zamian rozciągał się tam pas morskiego wybrzeża, piaszczysta plaża z kępami grubej trawy rozsianymi w ciemnozielonych skupiskach. Ponad wzburzonymi falami unosiły się białe ptaki. I był tam dzień, a nie noc.

- To jest droga dla Eryka! Niech się uzbroi w zimne żelazo i idzie!

Czy były to słowa Merlina? Oboje odsunęli się od lustra. Sara spojrzała na brata. Przygryzł dolną wargę i wpatrywał się w swoje dłonie.

- Idziesz? - zapytała cicho.

Nachmurzył się i kopnął koszyk.

- Grzegorz poszedł, prawda? Jeśli on może, to i ja mogę, i zrobię to! Mnie też daj trochę jedzenia, Saro. No i jeden z tych widelców.

Gdy jednak wziął widelec, zawahał się i powoli odłożył go z powrotem do koszyka.

- Nie czuję się z tym dobrze - powiedział i jeszcze wolniej uniósł jedną z łyżek. - To jest lepsze. A dlaczego?

- Może bierzesz to, co ci się najbardziej przyda - zasugerowała Sara.

Przygotowała tymczasem drugą paczuszkę z jedzeniem i chociaż chciała błagać Eryka, żeby nie szedł, wiedziała, że nie jest w stanie go powstrzymać, zwłaszcza że przed chwilą widzieli, jak Grzegorz wyrusza na spotkanie swojej przygody.

- Powodzenia - powiedziała zrezygnowana Sara, gdy jej brat brał prowiant.

Stanął przed lustrem, z miną wciąż jeszcze nachmurzoną, i wzruszył tylko ramionami.

- To szaleństwo - westchnął ciężko. - Uwaga. Już!

Tak jak wcześniej Grzegorz, Eryk wszedł w lustro i przeszedł na drugą stronę. Sara została sama, siedząc na podłodze w puściuteńkim pokoju.

Spojrzała uważnie na lustro, które otworzyło się dla Grzegorza, a następnie dla Eryka. Wiedziała, że teraz czekało tylko na nią.

- Szkoda, że nie mogliśmy pójść wszyscy razem - powiedziała i zaraz tego pożałowała, gdyż echo powtórzyło słowa, które zabrzmiały teraz jak szepty zza gobelinów.

Sara podniosła koszyk, podeszła do lustra i powiedziała zdecydowanie:

- Pokaż mi moją drogę. Jestem gotowa.

W tej samej chwili lustro zniknęło, a dookoła zrobiło się złoto i zielono; wszystko wokół skąpane było w słonecznym blasku. Dziewczynka ruszyła naprzód. Jej stopy przeszły z podłogi na miękką ziemię. Przez chwilę Sara była oszołomiona. Nie było tu gór ani morza. Znalazła się ni stąd ni zowąd na środku leśnej polany. Czyżby to był ten sam las, który rósł wokół bramy?

Miejsce to tak bardzo różniło się od ciemnej i odludnej drogi Grzegorza i od dzikiego wybrzeża morskiego, na którym został Eryk, że Sara nie mogła wprost ukryć swego zadowolenia. Zrobiło jej się nawet wesoło. Tylko co teraz miała tu robić?

- Kraaa...

Sara spojrzała w górę. Na gałęzi stojącego nie opodal drzewa siedział wielki czarny ptak. Pomimo słońca jego pióra nie lśniły ani nie błyszczały, ale były matowe i jakby zakurzone. Czarne były nawet jego szpony i dziób, ale gdy zwrócił głowę w dół i spojrzał na nią, jego oko błysnęło czerwienią. Sara od razu uznała, że to jej się nie podoba.

- Kraaa... - ptak rozpostarł szeroko skrzydła i po kilku energicznych uderzeniach wzleciał w powietrze, pikując prosto w jej głowę. Wydawał przy tym chrapliwe odgłosy, które brzmiały jak szydrczy chichot.

Sara wbiegła pod drzewo, mając nadzieję, że grube gałęzie powstrzymają ptaka. Ale on usadowił się na konarze tuż ponad nią, wczepiwszy się szponami w korę i utkwił w niej swoje czerwone oczy.

- Uciekaj! - zawołała i machnęła ręką.

- Kraaa... - zarechotał ptak i zamachał skrzydłami, otwierając szeroko dziób i kończąc swój rechot przerażającym sykiem.

Sara pochwyciła koszyk i zaczęła biec. Ptak ponownie zerwał się z gałęzi i pofrunął za nią. Dziewczynka, szukając schronienia, wskoczyła w kępę krzaków, ale

zahaczyła stopą o korzeń i przewróciła się, kalecząc boleśnie kolano.

- Kraaa...

Tym razem w krzyku ptaka dała się słyszeć inna nuta i zniknęło gdzieś brzące w nim wcześniej szyderstwo. Sara usiadła, opatrując zranione kolano. Krzaki zamknęły się zielonym dachem nad jej głową - tak więc nie widziała ptaka, chociaż wystarczająco wyraźnie słyszała jego krakanie.

Nagle w zasięgu jej wzroku pojawił się wielki lis, którego spotkała przy bramie. Jego uwaga skupiona była na jakimś punkcie wysoko ponad jej głową. Patrząc w tamtym kierunku lis warczał nieprzyjaźnie.

Rozdział 5

Górska droga

Grzegorz stał pośrodku skąpanej w księżycowym świetle drogi i drżał z zimna. Spojrzał za siebie. Rozciągała się tam ciemna dolina, nigdzie nie było ani śladu lustra, przez które przeszedł. Wiatr świstał pomiędzy gałęziami bezkształtnych drzew, poruszając garstką pozostałych na nich liści. Zimny podmuch pchnął Grzegorza do tyłu. Chłopiec przygarbił plecy i ruszył pochylony przed siebie.

Doszedł do wniosku, że droga nie była często używana. W niektórych miejscach była niemal zupełnie zasypana ziemią, gdzie indziej kamienne bloki, z których ją zbudowano, przechylały się to w jedną to w drugą stronę, a ze szczelin między nimi wystrzeliwały w górę skupiska wysuszonej przez słońce trawy.

Teraz droga wspinała się zakosami po pochyłości zbocza. Kiedy Grzegorz dotarł na pierwszy szczyt, odwrócił się, żeby jeszcze raz spojrzeć za siebie. Widział tylko drogę biegnącą przez opustoszałą krainę. Żadnego domu ani zamku, żadnego schronienia - a więc taki sani widok jak z przodu. Po pewnym czasie nogi zaczęły go boleć od uciążliwej wspinaczki. Raz i drugi przysiadł na którymś z głazów, pozostałych po starych osuwiskach skalnych. Podczas tych odpoczynków nie słyszał nic prócz pojękiwania wiatru.

Na dalszej jego drodze nie było już drzew. Były tylko małe, kolczaste i bezlistne krzaki, które jednak starannie omijał, po tym jak się boleśnie zadrasnął o jeden z nich. Opatrywał właśnie skaleczoną rękę, gdy usłyszał słaby odgłos wycia, niosącego się przytłumionym echem gdzieś z naprzeciwka.

Trzy razy zabrzmiał ten mrozący krew w żyłach skowyt. Grzegorz zadrzał. Czyżby to był wilk? Przełknął ślinę i wyteżył słuch, żeby złapać ostatnie echo zawodzenia.

Spojrzał na widelec, który trzymał w ręku i zastanawiał się, jak obronić się przed atakiem wilka tak małą bronią. Gdy trzymał go w świetle księżyca, sprawdzając kciukiem ostrość jego ząbków, widelec nagle zajaśniał - zupełnie jak ostrze krasnoludkowej roboty, które nosił przy sobie Huon.

- Żelazo, zimne żelazo - powtórzył te słowa głośno i zupełnie bezwiednie. -
Zimne żelazo, moja broń!

Grzegorz podniósł się. I nagle, znowu zupełnie bezwiednie zaczął przerzucać swoją broń z jednej ręki do drugiej i za każdym razem, gdy chwycił widelec na nowo,

widelec stawał się cięższy, dłuższy i ostrzejszy. W końcu stwierdził, że trzyma w ręku długie na półtora metra drzewce zakończone czterema bardzo ostrymi kolcami. Może był to kolejny czar Merlina? Wyglądało to jak jakaś dziwna włócznia, która jednak, w połączeniu z myślami o Merlinie, dodała Grzegorzowi pewności siebie wobec rozlegającego się w oddali wycia.

Droga stawała się coraz gorsza i coraz bardziej zniszczona. W paru miejscach kamienie były tak poprzesuwane, że Grzegorz musiał się po nich wspinać, jak po stopniach stromych schodów. A dwukrotnie o mało nie upadł, podpierając się w ostatniej chwili włócznią, która zresztą przez cały czas służyła mu pomocą.

Światło księżyca, dotąd tak jasne i raźno przyświecające, zaczynało powoli gasnąć. Grzegorzowi nie podobały się rosnące wokoło smugi cienia, tym bardziej że droga na tym odcinku była bardzo zła i ciężko było znaleźć należyte oparcie dla stóp. Zdecydował więc, że prześpi się do rana. Wczołgał się w sporą dziurę między dwoma otoczakami i wystawił swą włócznię na zewnątrz, zagradzając ostrzem wejście.

Obudził się sztywny i odrętwiały, tak odrętwiały, że najmniejszy ruch sprawiał mu ból. Wypełznął ze swojej kryjówki na zewnątrz. Musiał już być dzień, chociaż nie było widać słońca. Było szaro i pochmurno, ale jaśniej niż w nocy. Grzegorz znalazł źródółko tryskające małą strużką ze skały. Nabrał trochę wody w dłoń i wypił powoli, pamiętając o konieczności spożycia odrobiny własnego prowiantu razem z pićm.

Droga biegła wciąż w górę i zdawało się, że nie prowadzi nigdzie indziej. Na warstwie ziemi, która tu i ówdzie pokrywała skały, nie było żadnych śladów, żadnego znaku, który świadczyłby o tym, że ktokolwiek przed nim był na tyle głupi, żeby wędrować tym szlakiem. Szarość powoli ustępowała, mimo iż nie świeciło słońce. Grzegorz wspiął się na wąską przełęcz pomiędzy dwoma wielkimi skalnymi kolumnami i spojrzał w dół, w rozciągającą się przed nim dolinę, gdzie pod łukowym mostem przepływała rzeka. Wokół mostu, po obydwóch stronach wartko płynącej wody, stały skupiska kamiennych domków, wśród których prześwitywały plamki zieleni.

Grzegorz z okrzykiem rzucił się naprzód, na wpół ześlizgując się z jednego zbocza, zbiegając po następnym, żeby tylko jak najszybciej dostać się do wioski i znowu zobaczyć człowieka.

- Halooo! - przytknął dłonie do ust i krzyknął z całą siłą swych płuc.

Głos zadudnił w dolinie, a następnie odbił się od skalnej ściany i spotęgowany wrócił echem do niego. Ale nie było żadnej odpowiedzi, żadnego ruchu na krętych

uliczkach wioski. Zaniepokojony tym Grzegorz zwolnił bieg, wystawiając włócznię ostrzem przed siebie, tak jak zrobił to ostatniej nocy, gdy znalazł schronienie w jaskini. Przyglądał się teraz skupisku mieszkań ze zwiększoną uwagą. Większość z nich stanowiły małe kamienne chatki z dachami pokrytymi strzechą. Zauważył też, że strzechy w wielu miejscach były wystrzępione i podziurawione, a niektóre domy prawie w ogóle nie miały dachów. Za to po drugiej stronie rzeki, w pewnej odległości od mniejszych budynków, stała wysoka na trzy piętra kwadratowa wieża z wąskimi szparami okien.

Ta budowla wcale nie wyglądała na zniszczoną przez wiatr i deszcz.

Grzegorz uznał, że wioska została opuszczona dawno temu, nie osłabiło to jednak ani na chwilę jego czujności. Gdy postanowił przyjrzeć się bliżej plamkom zieleni wokół zrujnowanych domów, okazało się, że są to po prostu wielkie, wybujałe chwasty, z grubymi, nieprzyjemnie wyglądającymi liśćmi i małymi, koloru matowej purpury kwiatami, które wydzielają przykry zapach.

Kiedy szedł przez most, zawahał się na chwilę, szybko spojrzał do tyłu na najbliższą chatę. Pozbawione drzwi wejście ziało czernią i przypominało bezzębną gębę, otwory okienne wyglądały natomiast jak puste oczodoły. Grzegorz nie mógł pozbyć się wrażenia, że ktoś go szpieguje, a może było to coś, co spoglądało na niego sekretnie zza framugi drzwi czy z któregoś z okien.

Gdy przechodził na drugą stronę rzeki, jego włócznia uderzyła kilkakrotnie o kamienną balustradę mostu, wydając przy tym metaliczny brzęk. I ten dźwięk, cichy przecież, zostawał za każdym razem pochwycony przez echo i niósł się dudniąc po całej wiosce. Teraz Grzegorz zrozumiał, że nie powinien był krzyczeć z góry, że być może zwrócił w ten sposób na siebie czyjąś uwagę, i kto wie, czy nie przyjdzie mu tego żałować.

Lepiej wydostać się z tej doliny - tak szybko, jak to tylko możliwe! Starał się mieć na oku wszystkie chatki dokoła i pewien był, że przy odrobinie szczęścia - albo jeżeli okaże się wystarczająco szybki i sprytny - wcześniej czy później zauważy, co się w nich czai.

Po przejściu mostu Grzegorz wyszedł na pokryty zielonym mchem chodnik, obiegający podstawę wieży. Gdy znalazł się na wysokości drzwi, włócznia obróciła mu się w jego rękach - pomimo że trzymał ją mocno - kalecząc mu przy tym lekko skórę. Zatrwożony postąpił kilka kroków do przodu, wiedziony w kierunku wnętrza wieży przez tę samą siłę, która zdawała się kierować jego włócznią.

Wtedy stwierdził, że musi albo porzucić broń, albo wejść razem z nią do środka. A ponieważ nie odważyłby się zostawić tu swojej włóczni, Grzegorz postąpił niechętnie naprzód. Jego dziwna broń pozostawała lekka i swobodna w jego ręku tak długo, jak podążał za jej wskazówkami.

Światło wewnątrz wieży było przyćmione, gdyż wpadało tylko przez wąskie otwory okienne. Cały parter był jednym kwadratowym pokojem, pustym, jeśli nie liczyć przygnanych tu przez wiatr okruchów starych liści. Na wprost wejścia znajdowały się schody, wiodące do dziury w sklepieniu. Grzegorz zaczął wchodzić po nich ostrożnie, krok po kroku, wciąż prowadzony przez włócznię. W końcu dotarł do trzeciego, najwyższego piętra, które było równie puste jak dwa poprzednie. Był całkowicie oszołomiony. Znajdowały się tam trzy okna, po jednym po bokach i trzecie z tyłu. W ścianie przed nim widać było zarys czwartego okna, które zostało zamurowane, tak jak brama, przez którą przeszli do Awalonu.

Poruszany siłą, której już nie próbował się przeciwstawić, podszedł do czwartej ściany i uderzył zębami swojej włóczni w zaporę z cegieł. Zaprawa, którą cegły były zlepione, musiała być bardzo słaba, gdyż po pierwszym lekkim pchnięciu utworzył się prześwit i cegły jedna po drugiej zaczęły wypadać na zewnątrz.

Grzegorz szybko obrócił się twarzą do wylotu schodów, przekonany o tym, że jeśli jakikolwiek wróg czai się w wiosce, to huk spadających kamieni zmusi go do ujawnienia się.

Ale echa łoskotu przygasły i nie dał się słyszeć żaden inny odgłos. Czyżby zamurowane okno było kolejną bramą? Nie, to niemożliwe - na zewnątrz rozciągało się tylko zachmurzone niebo.

Grzegorz położył rękę na szerokim parapecie i podciągnął się wyżej, by móc rozejrzeć się po okolicy. Tu z tej wysokości ruina wioski była jeszcze bardziej widoczna. Na żadnym z domków nie było całego dachu, a ziemi rozciągającej się wokół nikt od dawna nie uprawiał.

Grzegorz był pewien, że ktoś nim kierował. Ale dlaczego został tutaj przywiedziony? Tak, ta zagadka wciąż pozostawała nierozwiązana. Rozejrzał się uważnie dokoła i zauważył, że jeden z krzaczków drży, mimo iż nie wiał najłżejszy nawet wiatr - zupełnie jakby coś się skradało pod jego osłoną.

Z wioski przeniósł spojrzenie na odległą ścianę kolejnego masywu górskiego. Kłęby chmur przeszkadzały w tym, by w oddali dostrzec coś konkretnego. Nagle chłopiec ścisnął mocniej włócznię w dłoni, gdyż jednak coś w oddali dostrzegł - mały

punkcik światła, światła, które migalo jak skaczące płomienie odległego ognia.

Zdał sobie sprawę, że miejsce, w którym stoi, jest jedynym miejscem w całej dolinie, z którego można zobaczyć ten odległy blask. Teraz już łatwo było zrozumieć, że został tu przyprowadzony po to, żeby zobaczyć to światło i że ono musi być tajemniczym celem jego podróży.

Teraz gdy Grzegorz schodził po schodach i wychodził na zewnątrz, włócznia nie stawiała oporu. Chciał jak najprędzej oddalić się od martwej wioski i tylko trzy domy dzieliły go od rozległych połaci. Nie było to jednak takie łatwe, stwierdził po wyminięciu ostatniej chaty.

Od pierwszych drzew gęstego zagajnika, pokrywającego zbocze, po którym wspinała się droga, oddzielało go coś, co niegdyś było polem uprawnym. Gdy przyglądał się temu z wieży, widział tylko zachwaszczone poletka poprzecinane butwiejącymi szczątkami starych ogrodzeń. A pomiędzy nimi biegła prosto droga, po której obydwóch stronach rósł na wpół martwy żywopłot.

Grzegorz zatrzymał się i pochylił widelec, gdyż zza żywopłotu wylewało się stado zwierząt. Poruszały się cicho, kołysząc majestatycznie głowami. Te większe, o srebrno-szarych futrach, to były wilki, te mniejsze to norki i łasice - wszystkie mięsożerne, wszystkie szare.

Przystanąły wśród usychających traw, patrząc na chłopca swymi żółtymi, zielonymi i czerwonymi oczyma. Co śmielsze zwierzęta przykucnęły na skraju drogi, ale nie ruszały się ani na krok. Wilki przysiadły na zadach, jakby były psami gończymi, wysunawszy trochę swoje różowe języki. Grzegorz po chwili nabrał pewności siebie i ostrożnie, krok po kroku przeszedł korytarzem, który dla niego utworzyły.

Obserwował paciorki ich oczu, poruszające się wówczas, gdy i on się poruszał. Gdy przechodził między dwoma wilkami, wstrzymał na moment oddech. Bał się przyspieszyć kroku, żeby nie sprowokować ich do ataku. Wolno posuwał się naprzód, ale gdy dotarł do skraju lasu i odważył się spojrzeć w tył, pola były tak puste jak dawniej. Grzegorz stwierdził, że niezależnie od tego, jaki to niesamowite zgromadzenie miało sens, to nie stanowiło ono zagrożenia.

Zmęczony i głodny rozpoczął teraz wspinaczkę. Dolina nie podobała mu się do tego stopnia, że nie chciał już ani na chwilę się w niej zatrzymywać. Rad będzie, gdy znajdzie się w bezpiecznej od niej odległości. Wkrótce jednak wszedł w zarośla pełne dojrzałych jagód i zaczął rwać owoce pełnymi garściami, zagryzając co chwila

kęsami wyschniętej kanapki.

Noc spędził w skleconych naprędcie z walających się dookoła gałęzi szalasio. Spał głęboko, chociaż miał bardzo nieprzyjemne sny. Rano, gdy się obudził, przywitał go następny szary dzień.

Po przejściu pół kilometra dotarł na rozstajne drogi. Szerszy, ubity trakt, którym podążał od chwili przekroczenia przez lustro Merlina, skręcał w lewo. Druga ścieżka, znacznie gorzej oznaczona i zaczynająca się stromym podejściem, wiodła prosto. I to właśnie ta druga droga prowadziła w kierunku widzianych z wieży płomieni.

Grzegorz uważnie przyjrzał się ścieżce. Pięła się w górę, kończąc się ciemnym wylotem głębokiej szczeliny skalnej. Ponownie włócznia w jego rękach powiodła go pod górę, a następnie do wnętrza czarnej jaskini. Próbował znaleźć jakąś dróżkę, która by ją okręzała, ale żadnej nie było, a poza tym widelec nie pozwoliłby mu skrócić w bok - chyba żeby go porzucił.

Grzegorz ruszył naprzód. Zimne, kamienne ściany zamknęły się nad nim bardzo szybko. Gdzieś z przodu dochodził do niego odległy plusk wody. Zaczął badać drogę przed sobą, stukając widelcem o kamienne podłoże, żeby przypadkiem nie wpaść do jakiegoś podziemnego strumienia.

Mrok był tak gęsty, że Grzegorz miał wrażenie, iż mógłby nabrać go w ręce i nieść przed sobą. Gdy odwrócił się do tyłu, wejście rysowało się tylko jako mała szara plamka, którą ledwo mógł dostrzec. Dalej korytarz wspinał się wyżej i wszystko co go otaczało, było już wyłącznie ciemnością - przerażającą ciemnością, która zdawała się połykać zagłębiającego się w nią śmiałka. Poczul się tak, jakby nie mógł oddychać, jakby znalazł się w pułapce. Jego serce biło z coraz większym trudem. Niczego nie pragnął tak bardzo, jak tylko odwrócić się i biec, biec...

Teraz nasłuchiwał. Słuchał wszystkiego, co wyobraźnia mu podpowiadała o tym, co mogło się tutaj czaić w ukryciu. Niezależnie od tego wciąż szedł naprzód. I nie śmiał stanąć ani na chwilę, żeby naprawdę czegoś nie usłyszeć.

- Żelazo, zimne żelazo. - Najpierw wyszeptał te słowa, a następnie powtórzył je głośno w takt marszu. Dodatkowo zaczął widelcem wystukiwać rytm. Zaczęło mu to powoli dodawać otuchy, aż wreszcie zobaczył nową plamkę przyćmionego światła i wyszedł w końcu na skalną półkę, wiszącą jakieś półtora metra nad szerokim płaskowyżem. Stwierdził, że bez trudu uda mu się zeskoczyć na dół.

Po drugiej stronie płaskowyżu znajdował się odcinek ubitego traktu i Grzegorz

doszedł do wniosku, że to jakaś wytyczona droga. Wiła się ona między dziwnymi słupami i chłopiec myślał z początku, że to resztki kolumn i pozostałości zniszczonych zabudowań, potem jednak zauważył, że były one skupione w nieregularnych grupkach, albo też porzucane pojedynczo bez żadnego planu.

Pomiędzy kolumnami widać było resztki palenisk, wielkie, ułożone w stos kłody i całe pnie drzew. Dostarczenie ich na takie pustkowie musiało kosztować sporo trudu i Grzegorza zdziwiło, że dookoła nie było żadnych wozów ani ludzi, chociaż ogień jeszcze zupełnie nie wygasł. Cienka smuga dymu wciąż wznosiła się w niebo i w powietrzu wisiał gorzkawy posmak.

Grzegorz zeskoczył na płaskowyż i ruszył między kolumnami w kierunku ognika. Jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że to jest cel jego podróży i że za chwilę będzie musiał dokonać tego, po co został wysłany. Nie wątpił, że chodziło o odzyskanie jednego z talizmanów. Jednak nie wiadomo, o który chodziło i od kogo miał go odebrać - to wciąż pozostawało tajemnicą.

Teraz już tylko jeden filar oddzielał go od wielkiego paleniska. Oparł się dłonią o ostatnią kolumnę i wtedy wyczuł, że pod palcami nie ma skały... dotknął czegoś innego. Grzegorz oderwał rękę. Gdzieś z tyłu zabrzmiał dźwięk srebrnych dzwonów.

Rozdział 6

Morska droga

Piasek poruszył się pod stopami Eryka. Znad morza dał się słyszeć krzyk ptaka chwytającego trzepoczącą się srebrną rybę. Rzeński, świeży wiatr wiał w twarz chłopca i rozwiewał jego włosy.

Wspiął się na szczyt najwyższej wydmy, żeby objąć wszystko wzrokiem. Plaża była szeroka. Za pasem wydmy ciągnęła się jeszcze daleko, aż hen, gdzie pojawiały się ciemne plamki, które mogły oznaczać drzewa i krzewy. Tego jednak Eryk nie był pewien, bo odległość była zbyt duża. Jedno wszak wiedział, że jego ścieżka - która nie była aż tak realna jak ta, którą podążył Grzegorz - prowadziła ku morzu i biegła przez wodę.

Odwrócił się więc w tamtym kierunku i ujrzał ciemny punkt kołyszący się na łamiących się przy brzegu spienionych falach. Czy to była łódka? Być może, chociaż nie mógł być tego pewien z tej odległości.

Daleko na horyzoncie widniała smuga cienia. Ponieważ nie poruszała się i była ciemniejsza niż jakakolwiek chmura, Eryk pomyślał, że to może jakiś ład - może wyspa. A ponieważ leżała dokładnie na wprost miejsca, w którym wszedł do tej krainy, uznał, że to jest właśnie cel jego podróży.

Ale nikt chyba nie oczekiwał, że on tam popłynie No, chyba że łódką - dobrą, solidną łódką.

Eryk zszedł z wydmy na mokry piasek przy brzegu. Powoli ściągnął koszulkę i spodnie i wszedł do zimnej wody. Momentalnie poczuł, jak kostnieją mu ręce i nogi. Przed nim, prawie w zasięgu ręki, kołysała się łódka. Eryk postąpił jeszcze krok, czy dwa naprzód i nagle poczuł, że traci grunt pod nogami. Woda zalała mu głowę i zaczął się gwałtownie rzucać, próbując utrzymać się na powierzchni. Miał rację - wodzie nigdy nie można ufać! Właśnie miał okazję przekonać się o tym. Wreszcie przypomniał sobie resztki tego, czego Slim tak cierpliwie uczył go na obozie pływackim i zabrnął jakoś do łódki. Przytrzymując się ręką burty, Eryk przyjrzał się łodzi. Była do połowy zalana wodą, ale wyglądało na to, że nie ma żadnych dziur w poszyciu. Pomyślał, że mógłby przyholować ją do brzegu i tam zbadać ją dokładnie, upewniając się co do jej stanu.

Łatwiej jednak planować niż zrobić. Łódka nie miała żadnego uchwytu i była bardzo ciężka z powodu wody, która ją wypełniała. Eryk sporo się więc natrudził,

zanim dociągnął ją do brzegu i gdy tępy dziób łódki zarył się wreszcie w piasku, chłopiec zważył się wyczerpany na ziemię.

Podniósł się po chwili i wytarł do sucha swoją koszulką. Niczego bardziej nie pragnąłby teraz, jak wyciągnąć się na piasku i zasnąć, ale łódź czekała, a on miał dziwne wrażenie, że czas nagli i że nie może zmarnować ani chwili.

Na szczęście łódka była mała, materiał, z którego została wykonana - bardzo lekki, tak że mógł sobie poradzić z jej przeniesieniem. Po dokładniejszych oględzinach Eryk stwierdził, że ozebrowanie łódki zostało obciążone pokrytą łuskami skórą. Ryba, z której pochodziła ta skóra, musiała być naprawdę ogromna.

Po wybraniu wody czołno odzyskało stateczność. Eryk wyciągnął je całkowicie z wody, a następnie obrócił dnem do góry, żeby sprawdzić, czy nie ma żadnych dziur w kadłubie. Łódka przypominała teraz wielkiego żółwia, który właśnie schował głowę, ogon i nogi do skorupy. Wysuszone przez słońce łuski zaśniły barwami tęczy, ale gdy Eryk przejechał po nich ręką, okazały się szorstkie i chropowate.

Gdy Eryk już upewnił się, że łódź jest nie uszkodzona, usiadł na piasku i zjadł część tego, co mu dała Sara. Był także spragniony, ale nie mógł liczyć na znalezienie na wydmach świeżej wody do picia.

Wreszcie włożył paczuszkę z żywnością i łyżeczkę do łódki i zepchnął ją na wodę, a następnie sam wszedł do środka. Ciężar jego ciała sprawił, że łódka trochę się zanurzyła. W tym momencie zdał sobie sprawę, że nie ma wiosła, ani nawet pagaja.

Miał już wrócić na brzeg, żeby poszukać kawałka drewna, który mógłby je zastąpić, gdy nagle trącił stopą łyżeczkę. Podniósł ją.

- Zimne żelazo - powiedział głośno, nie wiedząc dlaczego.

W tym momencie otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. Z małej łyżeczki do herbaty zrobiła się bowiem wielka łyżka, a ta z kolei zaczęła rosnąć jeszcze bardziej, aż wreszcie trzymał w ręku coś, co wciąż miało kształt łyżki, ale było wielkości szpadla. Magia - prawdziwa magia - pomyślał, czując dreszcz podniecenia.

Pomimo swojej wielkości łyżka wciąż była lekka. Nie bez strachu, że może się nagle skurczyć, tak jak przed chwilą urosła, Eryk zanurzył ją na próbę w wodzie, a następnie, używając jej jako wiosła, wypłynął na morze i skierował się ku odległej wyspie.

Eryk nie był doświadczonym żeglarzem, podobnie zresztą jak obciążona skórą łódka i łyżka nie były najlepszym sprzętem na taką podróż, ale nadrabiał te

mankamenty energią i dobrymi chęciami. Sprzyjała mu też wyjątkowo gładka powierzchnia morza. Gdy oddalił się nieco od plaży, nad łódką zebrały się przekrzykujące się nawzajem ptaki morskie i towarzyszyły mu przez pewien czas, eskortując go na pełne morze.

Powoli nabierał wprawy. Zniknęła początkowa niezdarność i płynął coraz szybciej, chociaż wciąż miał trudności w utrzymaniu łódki we właściwym kierunku. Gdy jednak choć na chwilę chciał dać odpocząć barkom i ramionom i przestawał wiosłować, nadpływające z naprzeciwka fale znosiły go z powrotem w stronę brzegu, odbierając z trudem wywalczone metry. Dla Eryka - najbardziej niecierpliwego spośród rodzeństwa - ta niesamowita powolność była bardzo uciążliwa, ale wiosłował dalej.

Wyspa coraz to wyraźniej wyłaniała się z morza i wszystko wskazywało na to, że nie ma tam żadnej plaży. Strome ściany skalne wyrastały pionowo z wody, przekreślając możliwość wylądowania łódki na brzegu i zapewniając taki przywilej jedynie ptakom. Stado ptaków, które towarzyszyło dotąd Erykowi, wzbiło się właśnie wyżej i usadowiło na szczycie urwiska.

Gdy Eryk podpłynął jeszcze bliżej, doszedł do wniosku, że jeśli nawet byłyby jakieś plaże u podnóża tych skał, to i tak nie udałooby mu się wspiąć po nich na górę. A jednak w urwiskach były wyrwy, coś na kształt ogromnych jaskiń, w które morze wpychało swe badawcze macki. Obolały z wysiłku Eryk skierował swoją lekką łódkę dookoła skalnego przylądka, mając nadzieję, że znajdzie mimo wszystko jakieś dogodne miejsce do lądowania od strony morza.

Okrażył całą wyspę, która okazała się w sumie bardzo mała, i nie znalazł tego, czego szukał. A jednak był pewien, że musi tu wylądować. I dopóki tego nie zrobi i nie wypełni zadania, które mu wyznaczyło lustro - albo Merlin - nie będzie dla niego drogi powrotnej.

Pod płaszczem swej niecierpliwości Eryk był bardzo uparty i nieustępliwy. I to właśnie te cechy jego charakteru zmuszały go teraz do kontynuowania męczącego wiosłowania, chociaż bolały go ramiona, a ręce miał ciężkie jak z ołowiu. Jeśli nie ma plaży, musi znaleźć inną drogę - może przez jedną z tych ziejących jaskiń. Wybrał największą i skierował łódkę w jej kierunku.

Skalne sklepienie zamknęło się wysoko nad jego głową. Jeszcze tylko przez chwilę światło dnia oświetlało mu drogę. Eryk użył całych swych umiejętności, żeby trzymać się środka kanału i jak najdalej od obrośniętych zielonymi wodorostami

skalnych występów. Zapach morza był tu silny, ale wraz z nim dawała się wyczuć także inna woń - już nie tak przyjemna.

Im ciemniej się robiło, tym ściany bardziej się ku sobie zbliżały i Eryk zaczął się obawiać, że dokonał złego wyboru. Ale wciąż posuwał się naprzód, chociaż skały zostawiały mu coraz węższy korytarz. Wierzył, że w końcu wypłynie na rozleglejszą przestrzeń. Tak był tego pewien, że do ostatniej chwili przeciskał łódź wąskim przesmykiem, odpychając się łyżką od skał. Wreszcie faktycznie dotarł w jaśniejsze miejsce.

Wysoko ponad nim wyrwa w sklepieniu obramowywała skrawek błękitnego nieba. Wpadały tamtędy przyćmione promienie słońca oświetlając cichą, spokojną zatoczkę. Po lewej stronie Eryk zobaczył plażę, której szukał. Suchy biały piasek sięgał sporo powyżej poziomu wody.

Gdy dno łodzi ze zgrzytem osiadło na miniaturowej plaży, Eryk przeskoczył przez burtę i wciągnął łódkę pod górę. Zapach morza był tu wciąż bardzo silny, ale jednocześnie dawała się wyczuć ta jakaś inna woń.

Zanim Eryk ruszył dalej, wyciągnął łódkę całkowicie z wody. Wiedział, że z całą pewnością nie dotrze do wyrwy w górze, ale wyobraził sobie, że jeśli pójdzie plażą - uda mu się wyjść z jaskini. Ruszył zatem.

Teraz był naprawdę mocno spragniony, nie mówiąc o tym, że pragnienie potęgował jeszcze szum morza rozbijającego się o skały. Eryk miał nadzieję, że znajdzie jakieś źródło świeżej wody na tej wyspie, a na wspomnienie wypitej dawno temu lemoniady, przejechał suchym językiem po spalonych wargach.

Plaża wznosiła się coraz wyżej, doprowadzając go w końcu do ciemnej szczeliny. Eryk zawahał się przez moment. W szczelinie było bardzo ciemno. Myśl o wejściu do niej zdecydowanie nie należała do najprzyjemniejszych.

Wreszcie wyciągnął łyżkę przed siebie, dla zbadania podłoża, i postąpił naprzód. Szczelina okazała się krótkim korytarzem, który kończył się czymś w rodzaju biegnącej w górę studni. Na tle jasnego nieba nad głową zobaczył szorstkie występy i wgłębienia w jej ścianach. Zapewniały one oparcie dla rąk i stóp zdeterminowanemu grotolazowi.

Eryk przytroczył łyżkę do pasa i rozpoczął wspinaczkę. Gdyby nie potworne pragnienie, to wcale wspinaczka nie wydawałaby mu się trudna. Teraz jednak myślał jedynie i wyłącznie o tym, jak zdobyć świeżą wodę - dużo wody. Musiał ją znaleźć jak najszybciej. Podciągnął się po raz ostatni i znalazł się na zewnątrz. Sapiąc, opadł

na dywan z grubej trawy. Wokół słycać było krzyki ptaków morskich; ich zgiełk przesywał dreszczem. Dziwna woń, unosząca się w jaskini, tutaj była znacznie silniejsza. Po chwili Eryk usiadł i rozejrzał się dookoła.

Skalne urwiska, stojące jakby murem pomiędzy wyspą a morzem, okazały się w rzeczywistości ściankami gigantycznej misy. Z tych ścian zstępowały w dół do doliny - centralnego punktu wyspy - rzędy szerokich półek.

Półki te porośnięte były gęsto wybujałą, zieloną trawą, którą zaścielały setki gniazd - starych gniazd, jak uznał Eryk po dokładniejszych oględzinach. Być może było tu kiedyś lęgowisko ptaków morskich, teraz jednak na pewno gniazda nie spełniały swego przeznaczenia.

W samym środku doliny znajdowała się ogromna sterta patyków i jakichś odpadów, które zgromadził tam chyba nie znany bliżej ptak-gigant. A może to wiatr przygnał przez lata resztki starych gniazd?

W tej chwili Eryka jednak ponad wszystko interesowała strużka wody, spływająca po półkach w dół po przeciwległej stronie doliny. Był pewien, że taki wąski strumyczek nie zaczynał się z morza. A to było właśnie to, czego potrzebował teraz najbardziej.

Ruszył dookoła doliny, nie chcąc przedzierać się przez cuchnącą masę w jej centrum. Ptaki wciąż krążyły nad nim, krzycząc przeraźliwie. Zrywały się w powietrze, gdy przechodził obok nich, a potem znowu siadały na skałach.

Wyglądały - pomyślał przez chwilę - raczej jak widzowie oczekujący na obiecane przedstawienie. W dodatku wydawało mu się, że coraz ich więcej przylatywało znad morza, żeby usadzić się na krawędziach urwisk, ale żaden nie próbował go atakować, ani nie bronił starych gniazd. Eryk nie obawiał się więc ich obecności.

Tylko sposób, w jaki na coś czekały, był niepokojący. Eryk zauważył, że chociaż na górnych półkach było aż gęsto od gniazd, to niższe - te bliższe środka doliny - były zupełnie puste, mimo że było tam bardzo dużo wolnej przestrzeni.

Eryk dotarł do strumyczka i nachylił się nad nim, nabierając wody w ręce. Pił długo, przegryzając kawałkami chleba. Następnie zmoczył twarz i szyję. Z tego miejsca miał świetny widok na śmietnisko w centrum doliny, ale im dłużej mu się przyglądał, tym bardziej rosnęło w nim nieprzyjemne podejrzenie, że to nie są resztki starych gniazd z wyższych poziomów, ale jedno wielkie gniazdo, którego kształt i rozmiar zostały celowo zaplanowane.

A może to gniazdo orła? pomyślał Eryk w głębi ducha, żałując, że wie tak mało o ptakach. Pamiętał parę zdjęć jakiegoś ptaka z Ameryki Południowej w starym magazynie „National Geographic” - zdaje się, że kondora. Tak, to był kondor! Te ptaki były tak wielkie, że mogły nawet unieść całą owcę. Czyżby to było gniazdo kondora?

Przyglądając się pozostałym gniazdom doszedł do wniosku, że wszystkie pochodziły z zeszłego roku; prawdopodobnie to samo dotyczyło tego dużego gniazda. Eryk usiadł, gapiąc się w dół. Za nic w świecie nie chciałby znaleźć się tam w dole. A jednak jeśli został przywieziony do wyspy - znaczyło to, że został przywieziony właśnie do tego ogromnego gniazda.

Eryk oparł łokcie na kolanach, brodę podparł rękoma i pochylił się naprzód w zamyśleniu. Wszystko było bardzo dziwne, miał wrażenie, że widzi błysk słońca odbitego od kawałka metalu.

Nienormalne zachowanie ptaków powstrzymywało Eryka od dalszych działań. Na wyższych półkach wprost roilo się od ptaków. Usadowiły się tam, ze złożonymi skrzydłami, jeden obok drugiego, i wpatrywały się w niego z zaciekawieniem. Erykowi to się wyjątkowo nie podobało. Chciał wrócić do jaskini i do czekającej tam łódki. Tylko, że nie mógł.

Nagle łyżka, którą miał przymocowaną do pasa, wysliznęła się i zaczęła spadać w dół. Eryk usiłował ją złapać, ale było już za późno. Łyżka zastukała na niższych poziomach, odbiła się kilkakrotnie od skał i wleciała w sam środek wielkiego gniazda. Utkwiła tam mocno, na wpół wbita w ziemię, ze sterzącą do góry rączką.

Nie mógł wrócić do łódki bez niej. Eryk wstał. Ptaki jakby wstrzymały teraz oddech, czekając na coś bardzo dla nich ważnego. Eryk bał się, że gdy dotknie tego gigantycznego gniazda, sprowadzi na siebie jakieś niesłychane niebezpieczeństwo. Musiał odzyskać łyżkę, a jednak nie miał odwagi się ruszyć.

Wreszcie Eryk zaczął zeskakiwać z jednej półki na drugą, pokonując strach i zbliżając się do wielkiej kępy uschniętych patyków, liści i wszelkich odpadków i resztek. Żeby dosięgnąć łyżki, musiał wskoczyć w sam środek ogromnego gniazda.

Zapadła cisza, zamilkły ptaki, w całej dolinie nie było słyhać żadnego dźwięku. Eryk skoczył. Dalekie echo przyniosło przeszywający dreszczem krzyk, który towarzyszył chłopcu w momencie, gdy wylądował w gnieździe, zapadając się w nim po pas.

Rozdział 7

Leśna droga

Lustro Merlina przeniosło Sarę do lasu. Dziewczynka wcisnęła się głębiej pod gałęzie krzaków i spojrzała z niepokojem na lisa. Nie była bowiem pewna, czy lis jest wobec niej przyjaźnie nastawiony. Niewątpliwie jednak jego gniew był skierowany na ptaka, ukrytego gdzieś w gałęziach ponad jej głową. Sara miała nadzieję, że obecność lisa sprawi, iż ta złośliwa wrona - czy cokolwiek to było - odleci sobie gdzie indziej. Wciąż słyszała, jak ptak kręcił się na gałęzi. Wprawdzie już nie krakał, ale docierało do niej szuranie, drapanie szponami i odgłos poruszania skrzydłami.

Lis patrzył teraz wprost na nią. Widząc jego przyjazne spojrzenie, dziewczynka przestała się bać. Wypełzła z krzaków i podniosła się, otrzepując koszulkę i spodnie z ziemi i suchych gałązek. Z drzewa dotarł do niej trzepot skrzydeł. Lis warknął groźnie, a ptak wzleciał wysoko w powietrze i zatoczył nad nimi koło.

- Kraaa... - dało się słyszeć, ale tym razem był to gniewny okrzyk pokonanego.

Lis odpowiedział ostrym szczeknięciem i czarny ptak wzbił się jeszcze wyżej, znikając ponad wierzchołkami drzew. Sara z radością patrzyła, jak odlatywał. Jego ochryple krakanie wnet zamarło w oddali i dziewczynka odetchnęła z ulgą. Niby prawda, że to tylko ptak, ale w jego ataku na nią było coś przerażającego - właśnie dlatego, że to był tylko ptak, stworzenie o wiele mniejsze od niej, które jednak chciało ją skrzywdzić.

Delikatne trącenie i pociągnięcie za nogawkę spodni odwróciło jej uwagę od koron drzew i skierowało ku jej nowemu towarzyszowi. Lis zachowywał się zupełnie jak przywiązany do swej właścicielki pies - ciągnął ją za nogawkę, a następnie odbiegał kilka kroków naprzód, oglądając się w geście zaproszenia. Sara podniosła koszyk i ruszyła za nim.

Rudy ogon ze spiczastym białym koniuszkiem kołysał się rażno z prawa na lewo, podczas gdy jej przewodnik wiódł ją pomiędzy kępami krzaków ku ścieżce, po której obu stronach wystrzeliwały w górę młode drzewka, stykając się koronami w zielonym łuku ponad jej głową. Nie byli sami w tym zielonym świecie. Chociaż Sara nie widziała nikogo poza lisem, zza ściany liści dochodziły do niej różne piski, kwiki i różne inne odgłosy, zupełnie jakby mali mieszkańcy lasu gromadzili się wokoło, żeby być świadkami ich spaceru i rozmawiali o nich w swoim języku.

Zielona droga stawała się coraz to mroczniejsza, w miarę jak jasna zieleń drzew liściastych ustępowała miejsca ciemnej zieleni drzew iglastych. Ale przyjemna, rześka woń unosząca się w powietrzu, a także miękki dywan z opadłych igieł pod stopami uprzyjemniały wędrownkę, mimo snujących się cieni dookoła.

Gdy weszli głęboko między drzewa iglaste, odgłosy wydawane przez niewidocznych obserwatorów ucichły, a lis zwolnił nieco. Zastrzygł niespokojnie spiczastymi uszami, wsłuchując się uważnie w ciszę. Sara widząc to ostrzeżenie, znowu poczuła się nieswojo, wiedziała, że w ciemnościach może czaić się niebezpieczeństwo i podbiegła do lisa. Uspokoił ją dopiero dotyk jego puszystego ogona.

Sara, pytana o to potem, nigdy nie potrafiła powiedzieć, jak długo podążali tą drogą. Wiedziała tylko, że gdy doszli do polany, to była bardzo zmęczona i głodna, i jednocześnie zadowolona, że może wreszcie usiąść na dywanie z sosnowych igieł i mchu. Lis także usiadł, wywiesiwszy jęzor i oddychając ciężko.

- Jesteś głodny? - zapytała Sara.

Te dwa słowa zabrzmiały bardzo głośno w ciszy, jaka ich otaczała, i Sara zaraz pożałowała, że je wymówiła. Otworzyła teraz koszyk i wyjęła kanapkę, ostrożnie łamiąc ją na pół. Chleb zaczynał już schnąć, a masło orzechowe lepiło się okropnie. Normalnie wyrzuciłaby taką kanapkę, ale teraz jadła ją z apetytem. Drugą połowę oddała lisowi.

Zmierzył ją ciekawie wzrokiem, a następnie pokręcił niedwuznacznie głową. Sara starała się jeść powoli, przeżuując każdy kęs tak długo, jak to możliwe. Ale nie mogła zaprzeczyć, że wciąż była głodna, nawet po przełknięciu ostatniej kruszyny.

Lis powstał, gotów do drogi i wyraźnie czekając na Sarę. I wtedy nagle oboje usłyszeli słabe i odległe krakanie. Tym razem ptaków było więcej. Lis napierał na Sarę swoim ciałem i dziewczynka przemieściła się w cień rzucany przez najbliższe drzewa. Sam wystawił głowę i wpatrywał się w niebo ponad polaną.

Dziewczynka ujrzała klucz ptaków przelatujących tuż nad nimi. Były wysoko ponad polaną i wyglądało na to, że żaden z nich nie zauważył ich pod drzewem.

- Kraaa...

Ptak zamykający klucz oderwał się od reszty i zaczął pikować w dół. Teraz lis czym prędzej wepchnął Sarę w wykrot pomiędzy dwoma drzewami. Gdy już byli bezpieczni, lis odwrócił do niej głowę i zaśmiał się na swój sposób. Sara odwzajemniła się lekkim uśmiechem. Im więcej widziała tych czarnych ptaków, tym

bardziej ich nie lubiła.

Droga zawiodła ich do strumienia, ale lis nie pozwolił jej się do niego zbliżyć, dopóki nie zbadał terenu wokoło, wsłuchując się w odgłosy lasu i zaglądnijac między gałęzie drzew. Gdyby nawet jeden spośród czarnych ptaków ukrył się gdzieś, żeby ich szpiegować, to z całą pewnością był na tyle przebiegły, że nie zdradziłby swojej obecności. Lis pochylił się nad wodą i zaczął pić. Sara przyłączyła się do niego, ale ledwo zaczerpnęła parę łyków, lis już niecierpliwie ciągnął ją za rękaw, przynaglając do dalszego marszu.

Przeszli przez most utworzony przez zwałoną kłodę drzewa i weszli na ścieżkę po drugiej stronie rzeczki. Nagle lis zatrzymał się gwałtownie, unosząc lekko przednią łapę. W poprzek ścieżki bowiem rozciągnięta była misternie utkana, cienka sieć pajęczna. Była to największa sieć, jaką Sara kiedykolwiek widziała, stanęła więc jak wryta, a jej serce zaczęło gwałtownie bić. Jak wielki musiał być pająk, który to utkał?

Lis zaskomlał cicho, zupełnie jak pies postawiony przed problemem, którego nie potrafił rozwiązać. Wyraźnie nie chciał dotykać pajęczyny. Sara podniosła wyschniętą gałąź i z odrazą uderzyła nią w koronkową robotę, spodziewając się, że rozerwie ją na strzępy.

Ku jej przerażeniu gałąź odbiła się, nie uszkadzając sieci w najmniejszym nawet stopniu. Sara zdwoiła więc swą siłę i ponownie próbowała zerwać jedną z nitek łączących pajęczynę z ziemią, z nie lepszym jednak rezultatem. Chociaż sieć zdawała się być bardzo delikatna, trudno było ją zerwać, a dziewczynkę nie stać było na to, żeby zrobić to gołymi rękoma.

Nie mogli jej też obejść, gdyż drzewa i krzewy rosły tak ciasno obok siebie, że nie udałoby im się między nimi precysnąć. A poza tym - i to niepokoiło Sarę najbardziej - skąd mogli być pewni, że twórca i władca tej pajęczyny nie czai się na nich gdzieś przy drodze?

Sara mogłaby przeciąć pajęczynę nożem - jednak go nie miała. Dlaczegoż nie wzięła ze sobą srebrnego sztyletu, który nosił Huon?! Ale zaraz, co on takiego powiedział... że żelazo jest trucizną dla mieszkańców Awalonu? Żelazo... są przecież stalowe noże w koszyku!

Sara wyjęła jeden z nich. Nóż miał raczej tępe ostrze, nadające się bardziej do smarowania niż cięcia, ale sądziła, że uda jej się przepiłować nitki pajęczyny z jego pomocą.

Wystarczyło, że dwa razy stal dotknęła sieci. Sara z wrażenia aż okrzyk wydała, bo w miejscu, w którym spróbowała przeciąć pajęczynę, nitki zaczęły usychać i kurczyć się. W ciągu paru sekund cała pajęczyna zniknęła i ścieżka stanęła otworem. Lis widząc to szczeknął, wyrażając tym sposobem swą pochwałę. Sara zarzuciła mu ręce na szyję, tuląc go mocno, podczas gdy on delikatnie dotknął nosem jej policzka.

Postanowiła trzymać nóż w pogotowiu, ale nie natknęli się już na żadną przędę pajęczą, gdy weszli na drogę, która łagodnie się wznosiła. Drzewa rosły tu coraz rzadziej i były coraz mniejsze, za to wciąż było sporo krzaków i lis trzymał się blisko nich, jednocześnie pilnując, żeby Sara również znajdowała się w ich cieniu.

Wreszcie otworzyła się przed nimi rozległa przestrzeń porośnięta tylko trawą. Lis teraz szczeknął dwukrotnie i przypadł płasko do ziemi. Potem przyczołgał się kawałek, dając dziewczynce do zrozumienia, że należy tutaj zachować ostrożność. Sara poszła w ślady lisa, wreszcie spocona i podrapana dotarła na szczyt niewielkiego wzniesienia, z którego mieli się przyjrzeć leżącej na wprost krainie.

Teren przed nimi ponownie opadał. Sara - zobaczywszy co leży w dolinie - nie mogła powstrzymać się od drżenia. Był tam las, w którym rosło wiele drzew, ale wszystkie były uschnięte i martwe, wszystkie wyciągały bezlistne gałęzie ku niebu. Wokół lasu, wzdłuż jego zewnętrznych krańców rozciągała się wstęga szarości. Łączyła jeden pień z drugim, zupełnie jakby las został ciasno opleciony pasem materiału, sięgającym znacznie powyżej głowy Sary. Ta szara wstęga to były pajęcze sieci - setki, miliony pajęczych nici splecionych w sieć, utkanych jedna na drugiej, tworzących coś, co przypominało gruby koc.

Gdzie byli tkacze tych zapierających dech w piersiach pajęczyn? Sara próbowała nie myśleć o tym, jak muszą wyglądać i jak wielkie są te pająki. Lis chyba nie będzie chciał jej tam zaprowadzić?! A jednak w duchu Sara była pewna, że właśnie z powodu tych sieci została tu przywiedziona.

Nóż przeciął jedną pajęczynę. Ale czy da sobie radę ze ścianą opasującą cały martwy las? A jeśli nawet uda jej się zrobić wyłom, czy nie natkną się wtedy na jakieś stworzenia, którym odpowiadało życie w tym lesie otoczonym murem z pajęczych sieci? Z całą pewnością bowiem ta ściana została zaprojektowana po to, aby chronić albo uwięzić coś, czego Sara nie chciała bynajmniej spotkać.

Na szczęście lis nie nalegał na marsz w kierunku lepkiej ściany. Wręcz przeciwnie, cofnął się do lasu, z którego wyszli. Gdy ponownie znaleźli się pod

osłoną drzew, lis położył się na ziemi, opierając głowę na wyciągniętych w przód łapach. Zamknął powoli oczy, a następnie je otworzył.

Zapewne mieli tu zostać i odpocząć - przetłumaczyła sobie jego zachowanie Sara. Posłanie z suchych liści przygotowane obok zwałonego pnia drzewa wydało jej się bardzo miękkie. Położyła się i zwinęła w kłębek. Była pewna, że jej towarzysz nie pozwoli ani ptakowi, ani pajakowi podejść zbyt blisko. Sara czuła naprawdę wielkie zmęczenie.

Dziewczynka obudziła się, gdy coś miękkiego, być może koc, dotknęło jej policzka. Otworzyła oczy i ujrzała lisa, który stał przy niej wciąż unosząc łapę, którą ją obudził. Zaskomlał bardzo cicho, a głos dobył się jakby z głębi gardła. To chyba ostrzeżenie, pomyślała, i najciszej jak mogła wstała z liściastego posłania.

Słońce chyliło się ku zachodowi i cienie pod drzewami już się wydłużyły. Lis wskoczył na leżący pień i ponownie zaskomlał. Sara wspięła się za nim i zdziwiła się tym, co zobaczyła przed sobą. Czarna ziemia została oczyszczona z liści i patyków. W środku wyczyszczonej przestrzeni stał koszyk, a wokół niego ułożone były kamienie wszelkich rozmiarów i kształtów, tworząc rysunek gwiazdy wewnątrz koła. Na pięciu rogach gwiazdy zgromadzone były małe kupki zielonych liści.

Lis jeszcze raz zaskomlał i trącił dziewczynkę. Sara postąpiła naprzód, aż znalazła się tuż przy koszyku. Gdy odwróciła się, żeby spojrzeć na lisa, zwierzę pokiwało głową na znak aprobaty. Postępowała więc zgodnie z jego życzeniem.

Zupełnie zmieszana, czekała, co będzie dalej, obserwując tymczasem lisa, który biegał od jednej małej kupki liści do drugiej. Każdą z nich trącał nosem, a następnie dotykał przednią łapą. Co robił i dlaczego - pozostawało dla dziewczynki tajemnicą.

Gdy obiegił cały okrąg, usiadł na zadzie, unosząc przednie łapy w górę. Szczeknął, a potem zaskomlał, poruszając łapami. Teraz i Sara, nie wiadomo z jakiego powodu, uznała, że powinna usiąść. Może niezupełnie usiąść, co raczej uklęknąć z rękoma opartymi na ziemi, naśladując po prostu postawę czworonoga.

Z kupek liści unosiły się w górę cienkie smużki dymu. Sara była jednak pewna, że się nie paliły, gdyż nie widziała płomieni. Poczowała cudowną, ostrą woń, coś jakby zapach nagrzaných przez słońce igieł sosnowych i przypraw korzennych używanych przez panią Steiner w kuchni. Dym z małych kupek liści stawał się coraz to gęstszy i utworzył wokół Sary grubą otoczkę. Teraz nie widziała ani lisa, ani nic innego, poza gwiazdą i kołem.

Dym przypawił ją o zawroty głowy i wywołał dziwne uczucie. Zastanawiała się, czy to czasem nie sen, wszystko bowiem było takie niesamowite. Trochę przestraszona, spróbowała wstać, ale jej ręce były jakieś nienormalne - prawdę mówiąc, nie miała już rąk!

Na ziemi spoczywały łapy pokryte szarym futrem. To samo szare futro porastało jej ramiona!

Sara obróciła głowę - szare futro na całym ciele. A z tyłu szary ogon. Kim - albo czym była?

Sara chciała krzyknąć, ale dźwięk, który z siebie wydała, nie był w rzeczywistości krzykiem.

- Miauuu... - rozległo się i zabrzmiało to jak zawrozenie przerażonego kota.

Dym tymczasem uniósł się wyżej i przed Sara wyłoniły się wyraziście rogi gwiazdy, każdy róg oznaczony był kupką białego popiołu, w miejscach gdzie znajdowały się przedtem liście. Gdy dymna zasłona rozwiła się zupełnie, dziewczynka zobaczyła lisa, który wydał jej się teraz znacznie większy.

- Chodź! - usłyszała rozkaz, który Sara-dziewczynka odebrałaby zapewne jako szcęknięcie, ale dla Sary-kota był on całkowicie zrozumiały. A jednak nie ruszyła się z miejsca, pozwalając lisowi zbliżyć się do siebie. Swój sprzeciw wyraziła serią syków i pomruków, a następnie zjeżyła sierść na grzbiecie i zamachała gniewnie ogonem.

- Chodź! - lis stanął przy niej. - Zmiana postaci potrwa tylko do świtu, a jest bardzo dużo do zrobienia.

- Co ze mną zrobiłeś? Nie jestem kotem! - sprzeciwiła się Sara.

- To prawda. Ale w ludzkiej postaci nie mogłabyś wejść do Leśnej Twierdzy. A musisz to zrobić, żeby mieszkańcy lasów i pól Awalonu nie dostali się pod władzę Sił Ciemności.

- Jak to?

- Czy Huon nie powiedział ci o pierścieniu czarnoksiężnika Merlina? Ten, kto go nosi, na rękę, może kształtować świat zwierząt i ptaków, drzew i krzewów, czynić je dobrymi lub złymi. Gdy nosił go Merlin, był używany tylko dla dobra - dobra wszystkich dobrych rzeczy i zła rzeczy złych. Ale teraz wpadł on w ręce Sił Ciemności, będzie więc wykorzystywany dla zła wszystkich rzeczy, z tym tylko, że nieprzyjaciel nie ma jeszcze odwagi, aby użyć go otwarcie. Ukrył go przeto w Leśnej Twierdzy, gdzie tylko ktoś uzbrojony w zimne żelazo i władający jego magią może

wejść i go odzyskać. Ponieważ jednak złe moce zawsze wiedzą, kiedy istoty ludzkie zbliżają się do ich sekretnych miejsc, musisz przybrać postać jednego z nas. Ten kształt zachowasz do jutrzejszego wschodu słońca. Pospiesz się zatem i weź ze sobą żelazo, które będzie ci niezbędne. Ono jest twoją magią.

Otworzył nosem koszyk i wskazał na nóż, którego Sara użyła przeciw pajęczynie. Przytrzymała się teraz łapami krawędzi koszyka i wydobyła nóż ze środka. Niewygodnie było nieść go w pysku, ale nie miała innego wyjścia.

Początkowy strach i gniew topniał coraz bardziej. Stwierdziła, że im dłużej jest kotem, tym swobodniej się czuje. Zapowiadała się wspaniała przygoda i Sara zapałała chęcią czynu.

Lis przekazał jej jeszcze jedno ostrzeżenie na odchodnym:

- Pamiętaj, że musisz powrócić do tego miejsca i wejść do koła i gwiazdy, zanim dokona się twoja przemiana. W przeciwnym wypadku otrzymasz inny kształt, nie przeze mnie wybrany. Jeśli złe moce będą cię ścigać, nie wejdą tutaj. A teraz ruszaj w drogę, szara siostró!

Sara ponownie wbiegła na pagórek. Stwierdziła, że może się bezszelestnie poruszać i doszła do wniosku, że jej nowe ciało doskonale nadaje się do zadania, jakie jej wyznaczono.

W dolinie zapadał już zmrok. Oplatające las pajęczyny zdawały się jarzyć w ciemności własnym światłem.

Rozdział 8

Miecz

W kamiennym pustkowiu wśród gór Grzegorz poczuł się bardzo samotny. Gdy zabrzmiał dźwięk dzwonów, stanął nieruchomo, podniósł głowę i rozejrzał się dookoła. Ściana gór zdawała się bardzo odległa, a żadna z kolumn nie była zwieńczona dzwonnica. Ze zwęglonych pni drzew unosiły się leniwie w górę cienkie smużki dymu, ale poza tym nic nie było widać.

Kolumny! Podczas gdy dzwony wciąż hałasowały przeraźliwie, Grzegorz wrócił do kolumny, o którą się wcześniej opierał. Jego oko odbierało kolumnę jako wysoki, chropowaty kamienny słup. Jednak przy dotyku odnosiło się zupełnie inne wrażenie.

Grzegorz ponownie wyciągnął rękę. Pod koniuszkami palców nie wyczuwał kamienia, poczuł gładką powierzchnię jakby metalu i jakby miękką skórę. Po raz drugi odskoczył zdziwiony. Dlaczego kamienna kolumna sprawiała wrażenie ciała odzianego w zbroję i skórę? Dlaczego oczy mówiły mu co innego niż dotyk?

- Czy... czy ktoś tu jest? - zawołał, pragnąc żeby to pytanie zabrzmiało głośniejsz niż dzwony, ale z ust udało mu się wydobyć ledwie cichy szept.

Kamienny słup pozostał niezmienny. Nic się nie poruszył. Teraz jednak dźwięk dzwonów nie dochodził już z wszystkich krańców płaskowyżu, skoncentrował się w jednym miejscu, wokół dogasającego ogniska, z którego teraz unosiło się więcej dymu, choć nikt nie rozniecał ogniska na nowo, ani nie dorzucał drewna.

- Kto tam jest? - odezwał się ponownie Grzegorz, ale tym razem głośniejsz.

- Nie ma potrzeby krzyczeć, młodzieńcze. Grzegorz otworzył ze zdziwienia oczy. Przed chwilą nikogo nie było przy ognisku. Teraz ktoś tam stał. Przez sekundę chłopiec myślał, że to Merlin, gdyż zobaczył taką samą długą, szarą szatę, jaką nosił czarodziej. Zaraz jednak - może dlatego, że strach uczynił go bardziej ostrożnym - zauważył różnicę. Szatę Merlina ozdabiały wyszyte czerwona nicią wzory, a poza tym miała ona srebrno-szary kolor, taki sam jak ostrze miecza.

Tymczasem przybysz okryty był matowoszarym płaszczem koloru zimowych chmur burzowych, a wzory na nim wyszyte były czarną nicią, takiej samej barwy jak jego pas. Twarz zasłaniał mu nasunięty głęboko na oczy kaptur. Grzegorz czuł strach przed Merlinem, ale ten obcy przerażał go jeszcze bardziej. Instynktownie więc chłopiec wysunął przed siebie swój widelec z zębami skierowanymi na nieznanego.

Przybysz roześmiał się wesoło. Białe ręce odrzuciły kaptur do tyłu i oczom Grzegorza ukazała się piękna kobieta. Jej długie włosy wysypały się spod kaptura i opadły swobodnie na ramiona, sięgając aż do pasa. Nie były ani ciemne, ani jasne - raczej koloru srebrnego ostrza, które pokazał im Huon. I zdawały się rzucać wokoło odbłyski migotającego światła, zupełnie jak sztylet, gdy odbijały się w nim promienie słoneczne.

Nabrała pełną garść włosów i rozpostarła je niczym wachlarz na dłoni. Następnie wyrwała trzy, cały czas się do niego uśmiechając, i zwinęła je pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

- Cóż cię tu sprowadza, młody człowieku? - zapytała miękko. - Wygląda na to, że nie lubisz otwartej drogi, gdyż skradałeś się tutaj od tyłu. - Mówiła tonem rodzica strofującego niegrzeczne dziecko. Ale Grzegorz słyszał ten ton już wiele razy w przeszłości, nie zbiło go to więc z tropu. I to był pierwszy błąd czarodziejki, ponieważ chłopiec nie spieszył się i nie zaniechał środków ostrożności.

- Przybyłem drogą, którą mi wskazano - odpowiedział Grzegorz, nie wiedząc czemu wybrał akurat te właśnie słowa. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie zadowolili one czarodziejki.

- Oho, a któż to poprowadził cię tą drogą? - ostrym tonem zażądała odpowiedzi.

I znowu Grzegorz znalazł słowa, które dla niego zabrzmiały obco i niezrozumiale.

- To co świeci w kamieniu - kamieniu ciała - kamieniu umysłu...

- Ach, tak! A więc jesteś jednym z nich! - jej oczy błysnęły zielenią, a palce poruszyły się błyskawicznie, wymachując siecią, którą uplotła ze swoich trzech włosów. - W takim razie dołącz do swych przyjaciół!

Rzuciła sieć w jego stronę, ponad dogasającym ogniskiem. Siatka rozpostarła się w powietrzu, jakby chciała pochłonąć całe jego ciało. Grzegorz dźgnął w nią włócznią. Zęby widelca wplątały się w oczka sieci, która owinęła się wokół broni chłopca. Jedna nitka smagneła Grzegorza w rękę, przylegając ciasno do jego nadgarstka.

Ale w tej samej chwili te nitki, które owinęły się wokół widelca, straciły swój srebrny połysk, szerniały, pokurczyły się i unieszkodliwione opadły na ziemię. Dzwony zagrzmiały dziko, a kobieta cofnęła się o krok, może o dwa. Przytknęła zaciśnięte pięści do ust i spojrzała zdumiona na Grzegorza.

- Żelazo! Mistrz żelaza! - wyszeptała płaczliwym tonem. - Kim jesteś, ty, który ośmielasz się wnosić zimne żelazo do Skalnego Pustkowiec i nie odnosisz z tego powodu żadnej szkody? Komu służysz?

- Wysłał mnie Merlin.

- Merlin! - wysyczała to imię jak wąż, wydobyło się ono spomiędzy zaciśniętych ust. - Merlin, który przebywa pomiędzy światami i dlatego może dotykać żelaza! Niemądry chłopak Huon, który urodził się jako śmiertelnik, dzięki czemu może władać mieczem z żelaza i osłaniać się żelazną tarczą! I wreszcie Artur... głupi, rozhukany zbir, udający króla, który wniósł ze sobą do Awalonu żelazo, aby zniszczyć większych od siebie, bo nie śmiał nawet marzyć o dołączeniu do nich! Niechaj oni wszyscy zgniją we własnej dumie i pewności siebie! Niech żelazo zwróci się przeciw nim i wypali ciała z ich pogiętych kości! Niech pożrą ich wreszcie demony nocy! A ty - spojrzała na Grzegorza - ty nie jesteś Merlinem, choć jest on mistrzem w zmianie postaci. Ale od czasu gdy nie nosi swego pierścienia na palcu - zaśmiała się chrapliwie - nie może przybrać żadnego kształtu, który ukryłby go przede mną. Nie jesteś też Huonem, a już na pewno nie Arturem! A więc rozkazuję ci, chłopcze, zdradź mi swe prawdziwe imię? - Uśmiechnęła się, a jej głos znowu zabrzmiał miękko i łagodnie.

- Grzegorz Lowry - odparł bezwiednie. Odpowiedź ta zdaje się nie usatysfakcjonowała wiedźmy. Powtórzyła usłyszane imię, podczas gdy jej ręce wykonały serię skomplikowanych ruchów podobnych do tych, które zrobiła, zanim zarzuciła na niego sieć ze swych włosów. Wreszcie wyrzuciła ręce w górę w geście wyrażającym zniecierpliwienie i przyznanie się do porażki.

- Dzierżysz żelazo, przeciw któremu nie mogę rzucić żadnego czaru. Cóż, czego chcesz ode mnie?

- Tego co jest ukryte. - Po raz trzeci Grzegorz wymówił słowa, które ktoś albo coś włożyło mu w usta.

Zaśmiała się głośno.

- Tego nigdy nie dostaniesz. Rozejrzyj się wokoło, niemądre dziecko. Gdzie znajdziesz to, co jest ukryte? Jeśliś szukał czterdzieści dni i czterdzieści nocy, to to wciąż pozostanie bezpiecznie schowane.

Włócznie poruszyła się w jego ręku, tak jak wtedy, gdy wprowadziła go do wieży w opuszczonej wiosce. Powoli widelec skierował się ku ziemi. Przez głowę Grzegorza przemknęło wspomnienie ludzi szukających wody za pomocą drewnianej

różdżki, której patyki wyginały się w kierunku ziemi, w miejscu gdzie można było wykopać studnię. Czytał gdzieś o tym. Czy włócznia mogła mu wskazać to, co musiał znaleźć? Warto było spróbować.

Ale nie zaszedł daleko, bo broń niemal wyslizgnęła mu się z rąk, gdy tylko zbliżył się do ogniska. Zębki włóczni wbiły się w kupkę spalonego drewna i popiołu. Grzegorz - odrzuciwszy na boki nadpalone kłody - zaczął kopać.

Dzwony zaczęły wydawać nieczyste dźwięki, które przeszły stopniowo w hałas, odzywający się echem w jego uszach, ogłuszając go swym zgiełkiem i przyprawiając o ból głowy. Wiedźma biegała teraz wokół niego - trzymając się jednak rozważnie poza zasięgiem włóczni - i wykrzykiwała nie znane mu słowa, kreśląc dziwne znaki w powietrzu.

Okropny, pokryty łuską stwór, nie przypominający ani węża, ani krokodyla, ale raczej przerażającą mieszankę obu tych gadów, pojawił się nagle obok niego i wyciągnął w jego stronę swe szponiaste łapy. Grzegorz machnął włócznią, uderzając go po pazurach, i stwór zniknął. Potem inne poczwary zebrały się wokoło, otaczając go ze wszystkich stron, ale Grzegorz - czując się bezpieczny dzięki mocy żelaza - nie próbował nawet pozbyć się ich. Kontynuował pracę przy wykopywaniu ziemi z miejsca, gdzie jeszcze niedawno płonął ogień.

Praca posuwała się bardzo wolno, gdyż widelec nie sprawdzał się najlepiej w roli łopaty, ale chłopiec bał się odłożyć go, by pomóc sobie rękoma. Wreszcie przykucnął, trzymając widelec w jednej ręce i przerzucając spulchnioną ziemię drugą. W końcu jego palce natrafiły na coś twardego...

Wyciągnął znaleziony przedmiot na powierzchnię. Był on tak ciężki, że chłopcu z trudem przychodziło otrząsnąć go z ziemi, ale wreszcie udało się i oto trzymał w dłoni miecz!

Grzegorz widział podobny w muzeum i zastanawiał się, skąd ludzie mieli tyle siły, żeby nim wymachiwać. Ciężar szerokiego ostrza i rękojeści ściągał mu w dół całe ramię. Miecz - zaginiony talizman - Ekskalibur!

Dla bezpieczeństwa włożył włócznię między kolana i oczyścił rękojeść i lśniące ostrze miecza z gliny. To była zupełnie surowa broń - nie miała żadnych klejnotów ani ozdób ze złota - ale chłopiec był pewien, że to jest to, po co został wysłany. Chwycił go mocno w lewą rękę i spojrzał na wiedźmę.

Nie próbowała już rzucać czarów, stała tylko spokojnie, mierząc go wzrokiem. Gdy Grzegorz odchodził od wykopanej przez siebie dziury, miał uczucie, że wiedźma

- mimo iż straciła miecz - wciąż wierzyła w szansę zwycięstwa. Czy to tylko przypadek, czy jakieś czary Merlina sprawiły, że udało mu się tak łatwo poznać jej tajemnicę? Grzegorz cofając się zahaczył ostrzem miecza o jedną z kolumn. Odpowiedzią na to uderzenie był zduszony krzyk!

Tam, gdzie znajdowała się kolumna, stał teraz mężczyzna. Miał zamknięte oczy i bardzo bladą twarz. Nosił zbroję i okryty był skórą, zupełnie jak rycerze Huona, z tym że jego odzienie było białe, na piersi zaś wyszyte miał godło czerwonego smoka. Mężczyzna jęknął i otworzył oczy.

- Strzeż się wiedźmy! - rozległo się.

Sieć z włosów zawirowała w powietrzu. Grzegorz w ostatniej chwili złapał ją na włócznię, zanim dotknęła rycerza.

Wiedźma krzyknęła, ale nie był to dźwięk wydany przez istotę ludzką. W miejscu gdzie stała, pojawił się wielki szary ptak. Zamachał z wściekłością skrzydłami i otwarty szeroko zakrzywiony dziób ruszył w stronę Grzegorza. Chłopiec machnął włócznią i ptak odskoczył do tyłu, przeleciał kilka stóp nad ziemią i wzbił się wysoko w powietrze, aby za chwilę zniknąć za najbliższą górą. Zapadła martwa cisza, gdyż nawet dzwony przestały bić.

- Miecz!

Mężczyzna, który jeszcze niedawno był zamieniony w kolumnę, klęczał na kolanach. Jego szeroko otwarte ze szczęścia oczy spoczywały na ostrzu, które trzymał Grzegorz.

- Panie, błagam cię, uwolnij współtowarzyszy! A potem ruszajmy szybko i bez wytchnienia, gdyż miecz Artura musi trafić w jego ręce, zanim wróg uderzy w samo serce Awalonu! Czas mija bardzo szybko.

Grzegorz po kolei dotykał wszystkich kolumn na płaskowyżu, a następnie większe bloki skalne, leżące między nimi. Wreszcie oddział ludzi noszących znak Czerwonego Smoka i ich konie powrócili całkowicie do życia. Dwóch z nich dosiadło tego samego wierzchowca, tak że jeden rumak został dla Grzegorza.

Droga obfitowała w zbyt wiele zakrętów, żeby mogli sobie pozwolić na szybką jazdę, ale rycerz, którego Grzegorz uwolnił jako pierwszego, utrzymywał szybkie tempo. Okrążyli łańcuch górski i wyjechali na urwistą drogę, która doprowadziła ich do doliny, gdzie leżała opuszczona wioska.

Zbliżał się zachód słońca i z każdym przebytym metrem Grzegorz coraz bardziej obawiał się o to, że przyjdzie im spędzić noc w nawiedzonym miejscu.

Próbował przekonać swych towarzyszy, że powinni zatrzymać się na noc w lesie, ale oni nie zgodzili się na to.

- Nie rozumiesz, młodzieńcze! Teraz, gdy nieprzyjaciele nie mają już miecza w rękach, nie będą dłużej zwlekać z atakiem. Muszą wykonać ruch, zanim dotrzemy do Artura, albo przegrają - a wciąż jeszcze mają przeciw nam róg i pierścień. Zatem jeśli uderzą zanim zwrócimy Ekskalibur królowi, będą mieli szansę zwyciężyć, gdyż tylko Artur może ruszyć do walki z tym mieczem. Musimy więc jechać całą noc i cały dzień, żeby nie dać im tej szansy.

- A przecież konie Huona potrafią latać. Gdybyśmy mogli z nich skorzystać...

- To prawda. Rumaki ze Wzgórz służą Strażnikowi Zachodu, ale jest ich niewiele i odpowiadają tylko na wezwanie Zielonego Smoka, nie Czerwonego. Tak, ja również chciałbym, żeby były w tej chwili z nami.

Grzegorz widział już z daleka zabudowania wioski, wieżę, most nad rzeką. Dojechali do skraju pól, gdzie droga wbiegała między żywołoty i gdzie mijał wówczas szereg milczących zwierząt. Jaki był cel tamtego zgromadzenia? Gdzie teraz były wilki i cała reszta?

Grzegorz nie zauważył stworzenia, które wyskoczyło z krzaków. Zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa dopiero wtedy, gdy koń, na którym jechał, stanął dęba i o mało nie zrzucił go z siodła. Grzegorz nie był doświadczonym jeźdźcem, udało mu się jednak chwycić jedną ręką za łęk siodła, podczas gdy w drugiej zdołał utrzymać bezcenny miecz. Włócznia niestety upadła na ziemię.

Zwierzę, które zatrzymało się na drodze przed jego koniem, było nie większe od małego psa, ale rosło bardzo szybko, przekształcając się w pokrytą łuskami poczwary, podobną do tej, jaką wezwała czarownica na płaskowyżu. Szponiasta łapa zakreśliła łuk ponad wierzchowcem i jeźdźcem i opadła przed nim.

Grzegorz puścił łęk siodła i obiema rękoma uniósł miecz. Był zbyt ciężki, żeby mógł nim wymachiwać, ale łapa poczwary opadając sama nadziała się na jego ostrze. Potwór zawył z bólu i odskoczył do tyłu. Grzegorz został wyrzucony z siodła.

Gdy spadał na ziemię, wypuścił - mimo wysiłków - miecz z rąk. Bezbronny stanął twarzą w twarz z wielką bestią ziejącą furią.

Jego koń spłoszył się i uciekł, wprowadzając dodatkowe zamieszanie wśród mężczyzn usiłujących zapanować nad szaleńczym strachem własnych wierzchowców. Grzegorz dostrzegł, że rycerz, który ich prowadził, usiłuje dotrzeć do niego.

Ekskalibur! Gdzie był miecz? Wpadł z łapy poczwary i leżał teraz w kurzu na

drodze pomiędzy Grzegorzem a potworem. Zraniona kończyła gada skurczyła się i zwisała teraz bezsilnie. Prawdopodobnie ostrze leżące między chłopcem a smokiem powstrzymywało jego kolejny atak. Grzegorz starał się jednocześnie szukać włóczni i nie spuszczać z oczu potwora. Nagle szary cień wyskoczył z zarośli i zaatakował pokryty łuską ogon. Dało się słyszeć zawodzące wycie wilka. Gdy najeżona kolcami głowa smoka zwróciła się ku nowemu przeciwnikowi, Grzegorz znalazł swą włócznię.

Po raz drugi wilczy głos rozdarł powietrze, ale niósł on ze sobą gniew, nie strach. Na drodze tymczasem pojawiało się coraz więcej zwierząt, dużych i małych, wszystkie zmierzały w kierunku smoka, wszystkie szczyrzyły groźnie zęby. Potwór tupnął stopą o ziemię, machnął ogonem i zawył z wściekłością.

Następnie ruszył do przodu, przeskoczył przez miecz i pochylił się nad Grzegorzem. Jednak pomimo przepełniającej go furii cofnął się przed zębami włóczni. Grzegorz zaatakował i potwór odskoczył znów do tyłu. I tu popełnił fatalny błąd, gdyż nie zauważył leżącego na drodze miecza i nadział się na niego całym ciężarem swego ogromnego cielska.

Wyciągnął głowę ku niebu i zaryczał straszliwie, rzucając się w przód i w tył, widocznie nie mogąc się ruszyć z miejsca, bo chyba ostrze przykuło go do ziemi. Kontury jego ciała rozmyły się i potwór zaczął się kurczyć. W końcu Grzegorz zobaczył, że to nie był smok, ale odziana w szarą szatę wiedźma z płaskowyżu. Kobieta zadrzała i spróbowała się ruszyć, ale jej stopy były przytwierdzone do ostrza Ekskalibura i to ją trzymało mocno w miejscu.

Czarne linie na jej szacie zaczęły się marszczyć i znikać, srebrne włosy poskręcały się wokół jej głowy i pokurczyły. Wtem Grzegorza oślepił nagły błysk światła i kobieta zniknęła. Pozostała po niej tylko smuga dymu, która zresztą szybko się rozwiała.. Teraz droga była wolna, jeśli nie brać pod uwagę leżącego na niej miecza.

Ale tylko przez chwilę. Z zarośli i pól wokół rycerzy dały się słyszeć różne dźwięki, szelesty, a wreszcie coraz liczniejsze okrzyki zdumienia i wdzięczności. Tam, gdzie przed chwilą roilo się od zwierząt, chcących pomóc Grzegorzowi w walce, stali teraz mężczyźni i kobiety, spoglądając w oszołomieniu na swoje własne ręce i nogi, czując swe własne ciała, przyglądając się sobie nawzajem ze zdziwieniem i radością.

Przywódca rycerzy, który panował już nad swoim koniem, podjechał bliżej.

Na jego twarzy widniało uniesienie.

- Wiedźma z Gór nie żyje! - krzyknął. - Władczyni Skalnego Pustkowiecia odeszła z Awalonu, a wraz z nią umarło zło, które uczyniła! Jeden z wrogów został pokonany. Radujcie się więc ludzie, którzy zostaliście wyzwoleni spod czaru nocy!

Rozdział 9

Róg

Eryk stał w miejscu, jego nogi tkwiły w masie wysuszonych odpadków, z których uformowano wielkie gniazdo. Musiał przebrnąć jeszcze jakieś dwa kroki, żeby położyć ręce na łyżce. A nie było to takie łatwe, gdyż ze względu na ciężar swego ciała przy każdym ruchu zapadał się coraz głębiej i wciąż nie mógł znaleźć solidnego oparcia dla stóp. Wszystko czego pragnął, to odzyskać łyżkę i wrócić na górę.

Ale nie mógł nie zauważyć różnych dziwnych rzeczy, zagrzebanych w bezładnej płataninie gałęzi tworzących konstrukcję gniazda. Wśród wiązek wysuszonej trawy walał się bogato zdobiony złoty łańcuch. Obok leżał kawałek wystrzępionego i wyblakłego materiału, na którym jednak nadal widniał wyhaftowany herb właściciela.

Wreszcie dotarł do łyżki. Spróbował wyciągnąć ją spomiędzy patyków, ale wyglądało na to, że łyżka na dobre utknęła w jakimś zagłębieniu, gdyż w żaden sposób nie mógł jej wydostać. Musiał więc chcąc nie chcąc wedrzeć się w głąb gniazda. Zaczął odrzucać na boki kępy trawy i połamane gałęzie.

W dolinie wystawionej na działanie promieni słońca było bardzo gorąco i Eryk co chwila przerywał żmudną pracę, aby obetrzeć rękawem spoconą twarz. Kurz i pył, wbijający się w górę przy każdym ruchu, oblepił jego mokrą od potu skórę, wdzierał się do ust i do oczu. Ale on kontynuował pracę, zdecydowany uwolnić łyżkę.

Za pierwszym razem, gdy cień przemknął nad gniazdem, Eryk myślał, że to chmura. Przeczucie podpowiedziało mu jednak, że zbliża się niebezpieczeństwo i spojrzał w górę. Momentalnie podjął szaleńczy wysiłek, aby ukryć się w dziurze, którą wykopał.

Już wcześniej próbował sobie wyobrazić, co to za ptak, który zbudował to gniazdo. Teraz wiedział! Ale zobaczyć go na własne oczy było czymś znacznie gorszym, niż tylko go sobie wyobrazić. Czy to możliwe, żeby ten potwór był ptakiem? Bo w końcu jaki ptak ma na głowie łuski zamiast piór? Inna sprawa, że pióra - czarne zresztą - porastały całą resztę jego ciała. No i te olbrzymie skrzydła! Podczas lotu wydawały odgłosy nadchodzącej burzy, ale wyglądały jak ptasie, z tym że były znacznie większe.

Eryk wrył się głęboko do wnętrza gniazda i miał nadzieję, że uda mu się

pozostać w ukryciu, dopóki ptak nie odleci. Był więcej niż pewien, że gdyby spróbował dostać się na wyższe półki otaczające dolinę, wystawiłby się na natychmiastowy atak. Pokryta łuskami głowa uzbrojona była w zakrzywiony dziób ptaka drapieżnego, a jego nogi przyciśnięte podczas lotu do ciała zdołały olbrzymie szpony.

Jeszcze raz chwycił łyżkę i wreszcie - po szaleńczym szarpnięciu - udało mu się ją wyrwać razem z całą masą tworzących gniazdo śmieci. Eryk, wpełzł do powstałej w ten sposób dziury, z której bił fetor. Pierwotne fundamenty gniazda zostały położone na małym obniżeniu gruntu. Gdy Eryk wskoczył do gniazda, fundamenty te rozszczerły się nieco, otwierając niewielką rozpadlinę w skalnym podłożu. Eryk wetknął, tam łyżkę, zważał jednak na to, żeby łyżka nie wpadła do którejś z morskich jaskiń w dole. Ale metal szczęśliwie uderzył o skałę, znalazłszy dno szczeliny kilka stóp poniżej.

Dochodzące z góry skrzeczenie i pisk, podobny do tego, jaki wydają odrzutowce w locie nurkowym, sprawiły, że Eryk wcisnął się jeszcze bardziej w zagłębienie i skulił się w kłębek, pochylając ramiona i rozdzierając przy okazji koszulkę. Był w miarę bezpiecznie schowany w skalnej szczelinie, gdy ptakopodobny stwór wylądował, ogłuszając go wściekłymi skrzekami.

Można powiedzieć, że furia ptaka ocaliła Eryka, gdyż wbił się z takim impetem w gniazdo, że przemieścił prawie całe tworzywo, które z kolei zasypało wykopaną przez chłopca dziurę, zakrywając go zupełnie. Eryk leżał tam i trząsał się ze strachu. Drżąc, czekał na to, aż zostanie odkryty i dziób albo pazur wyrwie go na światło dzienne. Raz nawet ptasi pazur zaskrobał o skalną powierzchnię tuż nad jego głową, lecz szczelina uchroniła go przed znalezieniem.

Tylko jak długo mógł tutaj pozostać? Dochodziło wprawdzie do niego trochę świeżego powietrza, bo budulec gniazda był wciąż rozrywany i rozrzucany przez rozwścieczonego ptaka, ale tego powietrza nie było za wiele. Wiedział, że gdyby się poruszył, na pewno zostałby przez ptaka zauważony.

Z pomocą rąk Eryk zaczął badać wąską szczelinę, w której się znajdował. Była niewiele szersza od jego ramion, ale za to dłuższa. Była znacznie głębsza, niż na początku sądził. Pozornie zmniejszała ją kupa cuchnących zgnilizną śmieci, zalegających w dole.

Zaczął wykopywać to wszystko spod siebie. Z odgłosów, które do niego docierały, wywnioskował, że ptak wciąż go szuka, ale robi to w tak bezmyślny

sposób, że Eryk uznał, iż jest on minio wszystko głupim stworzeniem. Gdyby ptak na skutek swego ptasiego mózdzku również szybko o nim zapomniał, miałby spore szansę ucieczki.

Szybko oczyścił dno rozpadliny ze śmieci, upychając je z tyłu, za sobą. Nagle natknął się jednak na przeszkodę, której nie dało się już tak łatwo usunąć. Eryk wyciągnął ręce i stwierdził, że nie jest to gałąź, pod palcem wyczuł bowiem gładką powierzchnię wygiętego łagodnie w łuk metalu.

Gdy mocniej pociągnął, przedmiot ustąpił, ale jednocześnie Eryk sprowadził tym na siebie katastrofę, gdyż od gwałtownego szarpnięcia poruszyła się cała sterta zakrywających szczelinę gałęzi. Teraz okazało się też, że ptak nie był widocznie aż tak głupi, jak sądził Eryk, ponieważ z góry nadeszła błyskawiczna odpowiedź, oznaczająca, że stwór odkrył jego schronienie. Eryk zaczął się krztusić i z trudem łapać powietrze, kurz wypełnił mu usta i oślepił oczy, a następnie cała masa odpadków pokrywających rozpadlinę została odrzucona na bok, Eryk przymrużył łzawiące oczy i spojrzał na przekrzywioną w jego stronę ptasią głowę, a w szczególności na otwarty szeroko dziób. Na szczęście ptak musiał wyprostować głowę, żeby zadać cios i wówczas w ostatniej rozpaczliwej próbie obrony, Eryk zasłonił się łyżką.

Dziób uderzył w metal z ogromną siłą, która odrzuciła Eryka w tył i wysała większość powietrza z jego ściśniętych płuc. Leżał dysząc, czerwony na twarzy i czekał w odrętwieniu na drugi cios.

Gdy ten jednak nie nadchodził, chłopiec spróbował się podnieść. Choć oczy wciąż go szczypały, widział teraz lepiej - dopóki gwałtowne machnięcie skrzydeł nie wzbilo w powietrze kolejnej mrocznej chmury odpadków i kurzu.

Ptak - bijąc wściekle skrzydłami - potrząsał głową we wszystkie strony. Było z tą głową coś nie tak, chociaż gwałtowne ruchy stworzenia nie pozwalały Brykowi dokonać dokładniejszych oględzin. Wreszcie Eryk stanął na nogach, trzymając łyżkę przed sobą.

Po raz drugi ptak zaatakował z szybkością błyskawicy. Eryk - z całą energią jaką udało mu się zebrać - zamachnął się łyżką jak kijem. Zaimprovizowana broń zderzyła się z głową stwora z siłą, która rzuciła Eryka na kolana. Następnie ptak zatrzepotał skrzydłami i wzbil się w powietrze ponad doliną. Nie wydawał już żadnych odgłosów, jego głowa kołysała się lekko podczas lotu. Wznosił się coraz wyżej, a Eryk obserwował go z niepokojem. Czy miał zamiar uderzyć na niego z tej

wysokości? Ale luźno zwisająca głowa ptaka i słabnące uderzenia skrzydeł mówiły chłopcu, że walka była skończona i że to on wyszedł z niej zwycięsko.

Wszystkie ptaki ze skalnych półek wzbity się do lotu, żeby przyłączyć się do wielkiego stworzenia, ale nie towarzyszyły mu długo. Olbrzymie skrzydła machnęły po raz ostatni, złożyły się wzdłuż pokrytego w połowie piórami, w połowie łuskami ciała i stwór spadł do morza. Eryk nie wątpił, że ptak jest martwy albo co najmniej śmiertelnie ranny.

Dla bezpieczeństwa Eryk nadal trzymał łyżkę w zagięciu ręki. Otarł teraz kurz i pył z twarzy i dumął nad tym, jak to się stało i dlaczego ptak zginął. To, co powiedział im Huon - że żelazo jest trucizną dla mieszkańców Awalonu - musiało być prawdą. I Eryk był rad z tego.

Ścianki rozpadliny - odsłonięte dzięki ostatnim wysiłkom ptaka - sięgały Erykowi do pasa. Chłopiec zaczął gramolić się na zewnątrz, chcąc jak najprędzej znaleźć się na górze przy strumyku i splukać kurz z ust i gardła. Ale coś owinęło się wokół jego kostki. Schylił się, żeby to coś podnieść.

Trzymał w ręku skórzany rzemyk, stary, ale dobrze natłuszczony i wciąż giętki. Wprawione były w niego małe gwiazdki, tworząc symbole, których znaczenia nie pojmował. Rzemyk nie mógł leżeć tu długo. Gdy za niego pociągnął, odkrył, że był on przytwierdzony do czegoś, co nadal pozostawało zakopane w tworzącej gniazdo masie.

Z pomocą łyżki Eryk usunął górną warstwę patyków i śmieci. I wtedy dostrzegł odblask metalu, tym razem jednak nie było to złoto, ale srebro, zastąpione w paru miejscach połyskującym matową bielą tworzywem. Znalazł róg wykonany ze srebra i kości słoniowej. Otrząsając go z brudu, Eryk wyniósł po chwili swe znalezisko na światło dzienne. Przedmiot ten nie mógł długo leżeć w ukryciu, gdyż srebro nie zdążyło jeszcze zaśnieść. To był róg! Róg Huona! Znalazł zatem jeden ze straconych talizmanów.

Miał wielką ochotę zadać w ten róg. Otarł wargi rękawem koszulki i przytknął róg do ust, ale nie zadał, bo róg był jakby nie ze świata, który znał i być może dmuchnięcie w ten róg mogłoby przywołać kolejnego wielkiego ptaka. Przeto Eryk przewiesił sobie róg przez ramię, przeczłapał przez rumowisko i wdrapał się z powrotem na półkę, z której tryskał strumień. Pił długo, przegryzając kanapkami ze swojego prowiantu.

Nie miał pojęcia, od jak dawna znajdował się na tej wyspie. W dodatku czas w

Awalonie i czas w jego własnym świecie biegł inaczej - czyż Merlin nie powiedział czegoś takiego? Zdawało mu się, że przebywał tu zaledwie kilka godzin, a tymczasem słońce chyliło się już ku zachodowi.

Czy odważy się wracać na wybrzeże nocą? Chciał wprawdzie jak najprędzej oddalić się od tej wyspy, ale niechętnie myślał o wyruszeniu teraz w drogę. Istniało zbyt duże prawdopodobieństwo, że jego łódka zostanie zniesiona na pełne morze. A on był zbyt zmęczony, aby walczyć z falami, z wysiłku bolały go dosłownie wszystkie kości.

Gdzie mógłby zatem przeczekać nadchodzącą noc? Eryk nie miał ochoty pozostawać przy zniszczonym gnieździe ani na otaczających je półkach. Już lepiej wrócić do morskiej jaskini i przespąć się w łódce, mimo że zawsze bał się wody. Trzeba więc ruszać w drogę, żeby zdążyć przed zmrokiem.

Eryk zaczął schodzić po ścianie studni, po której się wcześniej wdrapywał na górę. Sądził, że róg jest bezpieczny, wisząc na rzemiennym pasku. Wystarczyła jednak chwila nieuwagi, rząmek ześlizgnął mu się z ramienia i razem z rogiem poleciał w dół. Eryk przylgnął kurczowo do ściany, nasłuchując odgłosu uderzenia, co pozwoliłoby mu określić miejsce upadku. Nic jednak nie usłyszał. Na samą myśl o tym, że róg mógłby się rozbić, zrobiło mu się słabo i nie był zdolny do jakiegokolwiek ruchu. Oczy nabiegły mu łzami, żołądek się skurczył. Oto do czego doprowadziła jego nieuwaga!

Tyle razy w przeszłości mama i tata, pani Steiner, wujek Mac, a nawet Grzegorz i Sara zwracali mu uwagę, że jest zbyt niecierpliwy, zbyt impulsywny. Wszystkie te upomnienia odzywały się teraz echem w jego oszalałej głowie. Co będzie, jeśli róg się rozbił? Co powie Merlinowi i Huonowi? Zawiódł ich, nie wypełnił swego zadania.

Nie mógł wszakże pozostać tam, gdzie się teraz znajdował. Zaczął wyszukiwać nierówności w ścianie studni i ponownie podjął wędrówkę w dół. Przytroczona do pasa łyżka odbijała się o skały, wydając metaliczne dźwięki, ale nie dbał o to. Okrąg nieba nad jego głową ciemniał szybko, dając coraz mniej światła.

Eryk zwolnił. Gdyby mimo wszystko stał się cud i róg nie roztrzaskałby się na kawałeczki przy uderzeniu o ziemię, to nie chciał teraz na nim wylądować przez przypadek. Przylgnął ponownie do ściany. Jego stopy dotykały dna jaskini, wzrok niespokojnie badał otoczenie.

Promienie słońca nie wpadały już do studni. Eryk ostrożnie uklęknął i położył

ręce na ziemi, a następnie rozpoczął poszukiwania, przesiewając piasek i gruboziarnisty żwir pomiędzy palcami, znajdując i odrzucając różnej wielkości kamienie. Przeszukał całe dno jaskini. Nigdzie nie natknął się na skórzany rzemyk ani najmniejszy nawet kawałek roztrzaskanej kości słoniowej czy metalu. Nie było ani śladu rogu!

Zabrał się po raz drugi za przeszukiwanie całej jaskini, nie mogąc uwierzyć, że róg zniknął. Jeśliby rzemyk zaczepił się o jakiś występ na ścianie studni, zahaczyłby przecież o róg podczas schodzenia..Tak więc...

Erykowi zakręciło się w głowie. Niczego nie był już pewien. Po ostatnim rozpaczliwym pociągnięciu rękoma po dnie studni skierował się w dół ku wąskiemu korytarzowi prowadzącemu do morskiej jaskini.

Wilgotne, przesycone solą powietrze jaskini uderzyło go w twarz. Przyjął je z wdzięcznością, gdyż odświeżało i przynosiło ulgę po tym, czego doświadczył w gnieździe. Przy końcu krótkiego korytarza, tuż przed zejściem na plażę, Eryk przystanął i rozejrzał się uważnie. Dobiegało głośnie chlupotanie wody morskiej o skały. Chłopiec był jednak pewien, że usłyszał jeszcze jakiś dźwięk - jakiś brzęk, czy zgrzyt.

Eryk rozpoznał ciemny kształt swojej łodzi wyciągniętej z wody, tak jak ją zostawił. Zamarł w bezruchu, starając się oddychać możliwie jak najciszej. Chociaż nie mógł dostrzec nic poza łódką, wiedział, że było tam również jakieś żywe stworzenie, które prawdopodobnie miało zamiar zniszczyć albo przynajmniej uszkodzić łódkę, od której zależała jego ucieczka z wyspy.

Znowu usłyszał ten sam odgłos - tym razem głośniejszy, jakby istota, która go wydała, wcale nie miała zamiaru ukryć swej obecności. Potem Eryk zobaczył ciemną sylwetkę wzbijającą się w powietrze, obrysowaną słabą poświatą dochodzącą z wylotu jaskini.

To coś, co ukazało się oczom chłopca, miało potężne pazury, które powoli otwierały się i zamykały, jakby ich właściciel rozprostowywał je przed użyciem. Wreszcie kończyny stwora chwyciły burtę łodzi i lekka konstrukcja zazgrzytała o piasek, spychana w kierunku wody. Eryk zdawał sobie sprawę, że musi zacząć działać, bo inaczej łódka znajdzie się w basenie, poza jego zasięgiem.

Swoją ufność pokładał w mocy żelaza. Chwycił więc łyżkę, jakby to była włócznia, i zaatakował mrocznego stwora. Łyżka uderzyła o burtę łodzi, odbijając się od ciemnego cielska stworzenia, które wygięło się i odskoczyło, jakby przedmiot,

którym posługiwał się Eryk, był rozpalonym do białości kawałkiem żelaza. W tej samej jednak chwili uzbrojona w straszliwe pazury kończyła pomknęła w kierunku Eryka. Chłopiec przycupnął na jednym kolanie, trzymając przed sobą łyżkę dla osłony, zupełnie jak wtedy, gdy odparował cios ptasiego dzioba. Szpony uderzyły z potężną siłą, wbijając Eryka w burtę łodzi, przez co chłopiec otarł sobie policzek do krwi o jej łuskowatą powierzchnię.

Krzyknął z bólu, ale nie usłyszał odpowiedzi stwora, z którym walczył. Zobaczył tylko ciemny kształt zmierzający w stronę wody. Jeśli stworzenie to było jeszcze w stanie uciec do morza, mógł się spodziewać kolejnego ataku z jego strony.

Zdesperowany Eryk zerwał się na nogi i, trzymając łyżkę nad głową, pobiegł naprzód. Zamachnął się i z całą siłą uderzył swą dziwną bronią w pełznącą kreaturę. Stworzenie ugięło się pod ciosem. Eryk poczuł jednak tnące cięcie na nodze tuż pod kolaniem. Lecz wygrał. Stwór nie próbował już dowieść się do wody.

Rozległa się jeszcze cała seria dziwnych dźwięków, jakby szuranie wielu nóg, które usiłowały podnieść bezwładną masę umierającego ciała. Wreszcie wszystko ucichło.

Eryk stwierdził, że nie mógłby dotknąć tego stwora. Wolał też nie wiedzieć, z jakiego rodzaju potworem walczył. Wsunąwszy łyżkę pod martwe ciało, uniósł je i zepchnął do wody. I wtedy ponownie poczuł, że coś owinęło się wokół jego stopy. Gorączkowo zaczął więc kopać piasek w miejscu, gdzie leżał potwór, aż w końcu trzymał w ręku róg, który upuścił tam dogorywający złodziej.

Rozdział 10

Pierścień

Teraz na Sarę czekał leśny świat. Gdy przemykała w kierunku ścian Leśnej Twierdzy, utkanych z pajęczych sieci, coraz więcej dziwnych, nowych zapachów unosiło się z ziemi pod jej łapami i wypełniało powietrze wokoło. Jej koci nos drżał teraz z podniecenia. Nigdy przedtem nie zdawała sobie sprawy z tego, co to znaczy naprawdę czuć! Tak samo jak nigdy przedtem nie wiedziała, co to znaczy naprawdę widzieć. Dla jej ludzkich oczu panowałby już półmrok, zniknęłyby kolory, rosłyby cienie. Teraz potrafiła przeniknąć wzrokiem do wnętrza tych cieni i dlatego w ogóle się ich nie bała.

Była podekscytowana swym nowym wcieleniem i zadowolona ze swego nowego ciała, ale niepokój nie opuszczał jej, szczególnie gdy zbliżyła się do jarzących się niesamowitym światłem pajęczych sieci. W chwili, gdy dzieliło ją od nich kilkanaście stóp, upuściła nóż, oparła na nim obie przednie łapy i uniosła głowę tak wysoko jak mogła, aby lepiej przyjrzeć się martwemu lasowi. Zadrżała na myśl o dotknięciu sieci. Miała nadzieję, że uda jej się znaleźć miejsce, w którym jej kocie ciało będzie mogło przeskoczyć ponad lepłą obręczą otaczającą las. Ale nigdzie w zasięgu wzroku nie było żadnego odcinka, gdzie drzewa nie byłyby oblepione pajęczynami od korzeni aż do pierwszych gałęzi.

Musi użyć noża - ale gdzie? Tu przemówił do niej wrodzony instynkt ostrożności, charakterystyczny dla tego zwierzęcia, którego skórę teraz nosiła. Ponownie chwyciła nóż w żaby i pod osłoną wysokiej trawy podkrađła się na skraj lasu.

Obawiała się ewentualnych strażników i dlatego nie ważyła się wyciąć zbyt dużej i łatwej do wykrycia dziury w sieci. Szukała więc dotąd, aż znalazła miejsce, gdzie dwa wielkie korzenie wystawały nieco ponad ziemię. Tutaj wprowadzi nitki pajęczyny zamykały przestrzeń między nimi, ale nie była to duża przestrzeń. Sara przykucnęła i zaczęła operować nożem, pomagając sobie przy tym łapami. Praca szła bardzo mozolnie i zajęła jej znacznie więcej czasu, niż gdyby wykonywała ją z pomocą własnych rąk i palców. Wreszcie jednak nitki puściły i przed Sara otworzył się wąski korytarz prowadzący do wnętrza lasu.

Weszła w niego, płaszcząc swe ciało i przeciskając się pomiędzy korzeniami. Na szczęście widoczność była wystarczająco dobra, bo pajęczyny rozciągały się tylko

wzdłuż pierwszej linii drzew, a dalej już ciemność rozjaśniały widoczne w przedzie zielonkavo-żółte kule światła.

Owe kule okazały się grzybami rosnącymi na gnijących kłodach drzew. Dziewczynka odłamała jeden z nich łapą i powietrze dookoła błyskawicznie wypełniło się wirującymi pyłkami kurzu. Sara kichnęła i natychmiast ścisnęła nos łapkami. Upuściła przy tym nóż. Zdała sobie jednak sprawę z tego, jakie to niebezpieczne i szybko podniosła go.

Liście, które kiedyś opadły z martwych drzew, musiały najprawdopodobniej dawno temu obrócić się w proch, gdyż ziemia dookoła była zupełnie naga. Sarze nie odpowiadał taki grunt pod łapami, toteż, gdzie tylko mogła, starała się chodzić po wystających korzeniach albo zwalonych pniach drzew. Człowiek bez kompasu mógłby się łatwo zgubić w tym labiryncie, gdzie każde drzewo stanowiło wierną kopię swego sąsiada, a wydzielane przez grzyby światło myliło oko. Ale koci instynkt Sary prowadził ją bez trudu w sam środek tego złego miejsca.

Nie widziała wokół żadnego zwierzęcia czy ptaka, ani owada. Ale miała dziwne uczucie, że coś czai się tuż poza zasięgiem wzroku, coś ją obserwuje. Nie podobało jej się to.

W pewnym momencie musiała obejść dookoła staw wypełniony czarną, zmętniałą wodą. Na powierzchni wody zauważyła bańki, które wydobywały się z głębi i pękały. Tam też Sara zobaczyła pierwsze żywe stworzenie - chorobliwie bladą jaszczurkę, która przycupnęła na oślizłej, pokrytej szlamem skale i wpatrywała się w nią intensywnie swymi błyszczącymi oczyma.

Po drugiej stronie stawu Sara natknęła się na ledwie widoczną ścieżkę. Postanowiła trzymać się jej od tej chwili, chcąc jak najprędzej dotrzeć do celu. Nie zapomniała wszakże o ostrożności. Jej kocia zdolność do natychmiastowej reakcji na jakikolwiek sygnał niebezpieczeństwa sprawiła, że zatrzymała się, gdy usłyszała ciche dźwięki. Czyżby jaszczurka za nią podążała?

Wtedy zobaczyła wroga, ale nie z tyłu za sobą, lecz po prawej stronie. W całej swej okropności ukazał się jej w wiązce światła wydobywającej się z grzyba. Sara usiłowała krzyknąć, ale jedynym dźwiękiem, jaki zdołała wydobyć ze ściśniętego gardła, był cichy syk.

Stworzenie przebiegło po pniu drzewa z szybkością błyskawicy i zatrzymało się. Gdy spoczywało w miejscu, trudno było je odróżnić od jednego z grzybów. Sara wczepiła się pazurami w ziemię. Ostrożnie rozejrzała się dookoła, przyglądając się

grzybom, które w rzeczywistości mogły się okazać czymś zupełnie innym.

Jej niepokój wzrósł, bo oto zbliżyły się do niej zupełnie niepostrzeżenie jakieś trzy, może cztery wielkie pająki. Gdyby nie zaalarmowała jej mała nieostrożność pierwszego, zdołałyby ją prawdopodobnie otoczyć, zanim zdałaby sobie z tego sprawę. Była w stanie zmierzyć się z jednym z nich, ale nie z wszystkimi naraz.

W powietrzu unosiła się wolno i leniwie pajęcza sieć. Po chwili opadła w dół - wprost na futrzany grzbiet Sary. Za nią następna - i jeszcze jedna! Nieprzyjazne stworzenia widać tkwały pajęczynę, aby ją uwięzić. W tej chwili Sara jednak bardziej bała się samych pajaków niż ich sieci i rozpaczliwie zaczęła szukać wyjścia z sytuacji. Postanowiła dać złapać się w pułapkę, a gdy już pająki upewnią się, że nie ucieknie, użyć noża.

Bardzo trudno było wytrwać i odczekać, aż wirujące nitki owiną się wokół niej. Sara przyłgnęła teraz płasko do ziemi, wsunęła pod siebie łapy, a pomiędzy nimi umieściła nóż, tak żeby łatwo było się nim potem posłużyć. Ciarki ją obleciały, gdy poczuła lepkie nitki na uszach. Pośpiesznie zamknęła oczy.

Gdy już sieć pokryła głowę i grzbiet Sary, pająki przytwierdziły ją błyskawicznie do ziemi. Teraz musiała polegać na swoim nosie i uszach. Poczła liczne nogi przebiegające po jej uwięzionym ciele i zadrżała, gdy pająki zaczęły testować wytrzymałość jedwabistych więzów.

Co będzie, jeśli któryś z nich ją teraz ukąsi i pozostawi sparaliżowaną i bezbronną, zawiniętą w elastyczną sieć? Czuła dolatujący od nich smród, słyszała cichy odgłos ich kroków. Krążyły wokół, wzmacniając sieć dodatkowymi nitkami.

Wreszcie ostatnie prace przy pajęczynowej pokrywie zostały ukończone. Pierzchł też gdzieś silny odór bijący od pajaków. Sara wyteżyła teraz swe zmysły, nasłuchiwała i węszyła. Jeśli zostawiły kogoś na straży, to najwyżej jednego pająka. A z jednym sobie poradzi. Z całą mocą pchnęła nóż w stronę więzów.

Udało się! Jej prawa łapa była wolna! Magia żelaza znów działała. Sara uniosła się, sieć zaczęła pękać i usychać. Otworzyła oczy.

Na wprost niej stał wyprostowany, na wszystkich swych ośmiu nogach, jeden z pajaków. Po chwili rozhuśtał się i skoczył. Sara uderzyła go przednią łapą i przygniotła do ziemi, a następnie machnęła nożem, chcąc go nim dotknąć. Nie była pewna, czy Huon miał rację i czy żelazo faktycznie jest zabójcze dla mieszkańców Awalonu. Miała jednak nadzieję, że to prawda.

Pająk wciągnął nogi pod siebie i zmienił się w białą-żółtą kulę. Sara ujęła

teraz rękojeść noża w pyszczek i wbiła ostrze w kuliste ciało stworzenia. Pająkiem targnęły gwałtowne konwulsje i potem jeszcze przez chwilę drgał. Sara brzydziła się go dotknąć łapą, szturchnęła go więc tylko. Gdy przestał się ruszać, położyła nóż na ziemi, przytrzymując pająka jedną łapą. Językiem zaczęła oczyszczać swe futro z resztek sieci.

Wreszcie podniosła nóż, obeszła martwego pająka dookoła i ruszyła w dalszą drogę. Ale tym razem była bardziej czujna, oczekując kolejnego spotkania z obrzydliwymi stworzeniami, i przyglądała się podejrzliwie każdemu skupisku grzybów. W martwym lesie było bardzo cicho. Wilgotnej gleby nie pokrywały bowiem liście, które mogłyby szeleścić pod łapami. Ziemia ustąpiła teraz miejsca płaskim kamieniom, które wyglądały jak fragment bardzo starego traktu.

Po obu stronach ścieżki usypane były wały ziemne. Porastały je gęsto drzewa. Pomiędzy tymi drzewami wisały grube pajęczyny, dlatego też Sara trzymała się środka traktu.

Ta nieco zaniedbana droga doprowadziła ją do strumienia. Woda w nim była mętna jak w stawie, ale płynęła wartkim nurtem, okrążając dwoma odnogami leżącą pośrodku wyspę.

Wyspę otaczał kamienny mur, tak stary i obrosnięty uwiędłymi winoroślami i grubą warstwą mchu, że trudno było go odróżnić od zwyczajnej skały. Kiedyś istniał na pewno jakiś most łączący wyspę z drogą, teraz pozostało po nim tylko kilka obmywanych przez wodę kamieni.

Sara zaczęła przechadzać się po brzegu, przyglądając się nieufnie kamieniom. Chociaż nikt jej tego nie powiedział, wiedziała, że wyspa jest centralnym punktem lasu i że na niej znajduje się to, po co przysła. Rzecz jednak w tym, jak to coś zdobyć. Wyraźnie widziała wstrętne stwory poruszające się tuż pod powierzchnią wody. Nie miała ochoty walczyć z nimi. Ale jak to zrobić, żeby przeskoczyć na drugą stronę po tych mokrych kamieniach i nie wpaść do strumienia?

Przykucnęła, wyważyła nóż w zębach i skoczyła na pierwszy głaz. To był ryzykowny skok, ale udało jej się utrzymać równowagę. Drugi kamień był bardziej płaski i przez to łatwiej było na nim wylądować. Na nim właśnie przysiadła, złożyła nóż pod łapami i spojrzała na trzeci. Był zaokrąglony na górze i cały zielony od szlamu. Z kolei czwarty był znowu płaski. Może uda jej się doskoczyć od, razu do niego? Ponownie przykucnęła, dreszcz podniecenia przebiegł przez jej ciało. Skoczyła.

Jej tylne łapy uderzyły w wodę. Zaczęła gramolić się w górę, szukając oparcia dla nóg. I wtedy poczuła ostry ból w ogonie. Szarpnęła i nagle zobaczyła dziwnego stwora ze straszliwymi zębami, który wpił się w koniuszek jej ogona. Sara warknęła i uderzyła poczwarę nożem. Stwór puścił ją i wpadł miękko do strumienia.

Wyglądała żałośnie w mokrym futrze, ale nie mogła sobie pozwolić na to, żeby zatrzymać się i wyschnąć. Czekał ją teraz kolejny, o wiele dłuższy skok na szczyt muru otaczającego wyspę. Zacisnęła zęby na nożu i wykonała skok. Stała na murze. Mokra sierść na jej grzbiecie zjeżyła się, uszy złożyły się wzdłuż głowy, a ogon i nogi zeszywniały, gdy spojrzała w dół i zobaczyła, co strzegło starej twierdzy.

Już pająki w lesie były obrzydliwymi stworzeniami i wzbudzały w niej wstręt od pierwszego wejrzenia. Ale tutaj spotkała się z czymś o wiele gorszym - ropucha, trzykrotnie większa od niej w obecnej, kociej postaci.

Ropucha przycupnęła nieruchomo w samym środku pustego wnętrza twierdzy i utkwiała swe żółte oczy w Sarze, wpatrując się w nią bez zmruczenia powiek.

Sara bała się jej bardziej niż pajaków. Jej małe ciało zadrżało i to bynajmniej nie z powodu zimna. To na widok tych oczu, które stawały się coraz to większe... i wypełniały cały świat! Były to dwie przepastne głębie, w które można było wpaść!

Sara zamrugała. Była ciemna noc, ale żółte oczy ropuchy wystarczały, aby oświetlić całą wyspę. Pod tymi oczami zaczęła się powoli rozwierać wielka szczelina: usta poczwary...

Sara skuliła się, pragnęła być jak najmniejszym celem dla ropuchy. Nóż wciąż spoczywał w jej zębach. Ropucha była ogromna, a moc jej oczu nie pozwalała Sarze na żaden ruch. Długi, czarny język wychynął spomiędzy wielkich warg, usiłując pochwycić Sarę i wciągnąć ją do rozdziawionej paszczy. Dotknął jednak noża i natychmiast cofnął się. Ropucha zadrżała, jej cielsko się zatrzęsło, a paszcza zamknęła. I w tym samym momencie z jej ust wypadł okrągły, jarzący się wisiorek i potoczył w stronę murku, na którym stała Sara. Wisiorek był tak przejrzysty jak szkło i w jego rdzeniu Sara dostrzegła pierścień z ciemnego metalu.

Pierścień! W tym momencie musiała wybrać. Nie da rady nieść jednocześnie pierścienia i noża. Jeśli weźmie talizman, będzie musiała zostawić swą jedyną broń.

Szybko podjęła decyzję. Obawiała się bowiem, że każda chwila zwłoki doprowadzi do tego, że nie uda jej się w ogóle nic zrobić. Rzuciła nożem w ropuchę i zobaczyła, jak trafia on w jej szeroki grzbiet. Poczwara zaczęła się szarpać i wić z bólu, a wreszcie oklapła i znieruchomiała, zupełnie jak balon, z którego wypuszczono

powietrze.

Sara zeskoczyła z muru i chwyciła wisiołek. Był ciężki, ale stwierdziła, że da sobie z nim radę.

- Kraaa... - zakrakał czarny ptak, podobny do tych, które podążały za nią i za lisem. Pikował teraz w jej stronę, wydając okrzyk bojowy.

Sara rzuciła się błyskawicznie do ucieczki, w paru susach przebyła rzekę, skacząc po kamieniach, i wróciła pod osłonę martwego lasu. W lesie zatrzymała się na chwilę, usiłując obmyślić jakiś plan. Bała się wejść bez noża na ścieżkę rojącą się od pajaków.

W chwili gdy ujęła wisiołek w łapy, zdała sobie sprawę, że przecież pierścień jest z żelaza i może posłużyć jej do obrony. Najpierw jednak trzeba rozbić szklaną osłonę wokół niego.

Upuszczenie go na pobliską skałę nie przyniosło rezultatu. Stanęła więc na nim całym ciężarem swego ciała, ale wisiołek tylko wbił się w wilgotną ziemię i pozostał nienaruszony.

- Kraaa... - rozległo się znowu i jeden z ptaków przeleciał wzdłuż nagiej gałęzi tuż nad jej głową. Potem inne ptaki mu zawtórowały.

Sara wzięła teraz wisiołek w pyszczek i pobięła tak szybko, jak tylko mogła. Gdy pędziła przed siebie, spróbowała ugryźć przedmiot trzymany w pysku. Miała nadzieję, że jej ostre ząbki rozłupią szklaną osłonę. Przeskoczyła nad ciałem pajaka, który pilnował jej, gdy została złapana w pułapkę. Była przekonana o tym, że jeśli biegłaby bez przerwy, to udałoby jej się umknąć prześladowcom. Do uszu jej dobiegł znów nieprzyjemny łopot skrzydeł. Oparła się więc o pień martwego drzewa, którego gęste, splecione gałęzie stanowiły jednak doskonałą ochronę przed ptakami. Była przekonana o tym, że będzie musiała rozbić wisiołek, w przeciwnym razie nigdy nie wydostanie się z lasu.

Po wielu zabiegach, pomagając sobie nosem i przednimi łapami, udało jej się umieścić wisiołek na wystającym nieco z ziemi kamieniu. Potem Sara znalazła drugi kamień i uderzyła nim z całej siły w wisiołek. Nie poskutkowało. Powtórzyła więc tę czynność, ale znowu nie było rezultatu. Powoli zaczynała tracić wiarę w sukces, gdy nagle rozległo się ciche pyknięcie i szklana osłona pękła. Na ziemi rozsypało się trochę błyszczącego pyłu i to było wszystko.

Sara chwyciła teraz pierścień w usta, gotowa gnać dalej, gdy wtem z góry doszedł do niej krzyk. To ptaki wznosiły się i odlatywały. Przekonana była, że teraz

nadeszła szansa ucieczki i zaczęła biec. Nie zdawała sobie jednak sprawy z tego, co się wokół niej dzieje, bo przemykała pomiędzy drzewami.

Tymczasem całe bryły grzybów kurczyły się i odpadały od drzew. Wiał zimny wiatr, gwizdał wśród kruchych gałęzi, przynosząc ze sobą słodką świeżość. Gdy przebiegała obok stawu, gdzie przedtem leżała jaszczurka, zauważyła, że woda nie jest już mętna i brudna, ale kołuje się i pieni, pobudzona do życia przez długo tamowane źródła.

Kiedy Sara dotarła do miejsca, w którym przeczołgała się pod ścianą z pajęczyn, nie natknęła się tam już na mroczny mur utkany z lepkiego materiału. Z całej sieci zostały teraz tylko drobne, postrzępione skrawki powiewające swobodnie na wietrze, unoszone przenień w dal. Wbiegła więc bez problemu w blask księżyca i zaczęła wspinać się na wzgórze, na którym czekał na nią lis.

Na szczycie wzniesienia zatrzymała się i spojrzała w tył. Martwe dotąd drzewa gięły się i kołysały na wietrze. Większość pajęczych sieci zniknęła. Odnosiło się wrażenie, że ostre podmuchy wiatru wywiały całe zło ukryte w lesie i przygotowały go znów do życia. Zobaczyła też stado ptaków wznoszących się do księżyca. Zawróciły nagle i wydając chrapliwe krzyki ruszyły w jej kierunku.

Sara odwróciła się i pobiegła tak szybko, jak mogła. Może i las był teraz wolny od zła, ale wyglądało na to, że czarne ptaki wciąż mają moc, by polować.

Rozdział 11

Brama lisa

Przed Grzegorzem dokonywała się prawdziwa zmiana - tak wielka jak ta, którą Sara oglądała w lesie. Spoczywająca dotąd pod zaklęciem wioska powracała powoli do życia. Jej mieszkańcy, wyzwoleni ze zwierzęcych kształtów, pracowali ciężko przy swych zrujnowanych domostwach. Dwoje spośród nich - noszących wcześniej wilcze postaci - stało teraz przed nimi, jako pan twierdzy i jego żona, i nalegało na Grzegorza i jego towarzyszy, aby zostali i skorzystali z ich gościny. Ale oni pozwolili sobie tylko na krótki odpoczynek i już po chwili przewodzący im rycerz nakazał ruszać w dalszą drogę. Tym razem Grzegorz zgodził się z nim bez wahania.

Chociaż podczas jazdy towarzyszył im gęstniejący mrok, nie zgubili drogi, ponieważ z rękojeści wielkiego miecza, spoczywającego na siodle przed Grzegorzem, wydobywała się światłość. Światłość ta była odbijana i powielana przez podobny blask bijący od widelca-włóczni. Oświetlało to ich ścieżkę równie dobrze, jak gdyby ktoś niósł przed nimi pochodnię.

Dokąd prowadziła ta górská droga? Grzegorz wszedł na nią przez lustro Merlina i nie miał pojęcia, gdzie dalej biegła. Zauważył, że jadący obok niego rycerze trzymają ręce tuż przy rękojeści mieczy i zwracają baczną uwagę na wzniesienia po obydwu stronach drogi, jakby bali się jakiejś zasadzki.

Dojechali do miejsca, gdzie Grzegorz spędził noc wśród skał. Tam musieli zsiąść z koni i ruszyć w dalszą drogę pieszo, sprowadzając wierzchowce pojedynczo po pochyłości wzgórza. Gdy znów znaleźli się na płaskim terenie, Grzegorz stwierdził, że jest zbyt zmęczony, aby ponownie dosiąść swego rumaka.

- Wskakuj w siodło, młodzieńcze - ponaglał go Arturowy rycerz. - Czas mija. Być może Wschód i Zachód już teraz stoją twarzą w twarz z wrogiem. A jak może król Pendragon ruszyć do walki bez swego miecza? Wskakuj w siodło, musimy się spieszyć!

Grzegorz czuł ból w całym ciele, posłuchał mimo to polecenia i po chwili jechał dalej, drzemiąc ze zmęczenia, i nieświadom, że jeden z rycerzy chwycił jego lejce i prowadził teraz konia, na którym on siedział. Wnet jednak się obudził, bo usłyszał wołanie na alarm.

Księżyc widniał wysoko na niebie, a przed nimi rozciągały się zastępy nieprzyjaciół, tworząc jakby niemą barierę przegradzającą dalszą drogę. Byli to ludzie

- czy też stworzy podobne do ludzi - wspomagani na flankach przez stada potworów. Wzdłuż ich szeregów lśniły ostrza czerwonych płomieni wymierzone w Arturowych rycerzy i samego Grzegorza. Z tyłu zaś, za mrocznymi oddziałami wisiła skrząca się srebrem kurtyna - lustro Merlina?

- Naprzód, za Pendragona! - krzyknął jeden z rycerzy i wyszarpnął miecz krasnoludkowej roboty z pochwy. Pozostali powtórzyli okrzyk i również dobyli broni.

Koń Grzegorza, spuszczone z uwięzi pocwałował w kierunku linii nieprzyjaciół. Chłopiec słyszał nawoływania ludzi Artura i tętent kopyt na górskiej drodze. Jego przerażony koń przeszedł teraz w galop. Widział przed sobą punkciki ciemnego ognia, które układały się w groźny mur. Chłopiec trzymał Ekskalibur blisko przy ciele, zabezpieczając go lewą ręką, podczas gdy w prawej dzierżył swą włócznię, na którą padał blady blask księżyca. Pod wpływem tego blasku broń emanowała strumieniem białego ognia. Mroczna ściana zakołysała się przed nim i poruszyła. Grzegorz cisnął włócznię w nieprzyjacielską linię, która cofnęła się i rozstała pod jej dotykiem. Jego koń mknął dalej w kierunku mieniącej się kurtyny.

Za kurtyną Grzegorz dostrzegł człowieka dosiadającego jednego z uskrzydłych koni. Był to potężny mężczyzna ze złotą brodą. Na głowie nosił hełm zwieńczony figurką smoka z ognistymi oczyma. Smok był tak czerwony, jak odzienie pokrywające plecy i pierś mężczyzny. Za nim kłębił się tłum rycerzy i łuczników, nad którymi powiewał na wietrze wielki sztandar.

Brodaty mężczyzna spojrział na Grzegorza i wyciągnął do niego swą rękę w geście wyrażającym zarówno usilną prośbę, jak i rozkaz. Grzegorz, sam nie wiedząc jak, znalazł w sobie tyle siły, że wznosił Ekskalibur w obu rękach, zamachnął się nim i rzucił. Kawałek po kawałku olbrzymie ostrze przeszło przez kurtynę. A następnie, zupełnie jakby przyciągał je magnes, poleciało do wyciągniętej ręki Artura Pendragona. Strażnik Wschodu trzy razy zamachnął mieczem ponad własną głowę, a sztandar za nim pochylał się, oddając mu honor.

Tymczasem koń Grzegorza stanął na skraju mgły, a on sam został porwany przez wirujący obłok. Z daleka słyszał jeszcze zgiełk bitwy, zgrzyt krzyżujących się ostrzy, świst strzał. Wreszcie potoczył się po trawie i otworzył oczy. Nad sobą zobaczył - jasno i wyraźnie w ciepłym popołudniowym słońcu - świeże nacięcia wykonane nożem w pniu drzewa.

Eryk cofnął się od brzegu wody, gdy wtoczyło się do niej cielsko morskiego

stworu. Jego pierwotny plan, żeby spędzić noc w jaskini, nie wydawał mu się już tak dobry jak poprzednio. Chciał przede wszystkim dotrzeć na wybrzeże, chciał wydostać się z tej wyspy tak szybko, jak to tylko możliwe. Zepchnął więc łódkę na wodę, mając nadzieję, że wypłynie z jaskini, zanim zapadną zupełne ciemności. Gdy wiosłował, trzymał róg na kolanach. Nie chciał go znowu stracić. Przepłynięcie wąskiego korytarza, prowadzącego do zewnętrznej jaskini, zajęło mu znacznie więcej czasu niż za pierwszym razem. Bał się bowiem, że może rozerwać pokrywającą łódkę skórę o szorstkie ściany skalnego przesmyku. Posuwał się więc powolutku naprzód, aż wreszcie zobaczył odbicia szarego zmierzchu na powierzchni wody.

Eryk wyteżył słuch, starając się wyłowić inny jeszcze dźwięk niż szum morza i odgłos fal rozbijających się o przybrzeżne skały. Mogło się okazać, że potwór z wewnętrznej jaskini nie jest jedynym przedstawicielem swojego gatunku. Najbardziej Eryk bał się, że nagle coś wychynie z morskich głębin i zaatakuje jego łódkę.

Wypłynięcie łódką na morze okazało się teraz trudniejszym zadaniem, niż wcześniejsze wpłynięcie do jaskini. Wówczas Eryk posuwał się naprzód z falami, teraz zaś musiał z nimi walczyć. Był poza tym tak zmęczony, że za każdym razem gdy zagarniał łyżką wodę, czuł przeszywający ból w ramionach. Ale wreszcie dopiął swego i odetchnął z ulgą, gdy wyspa pozostała za nim, widoczna tylko jako smuga cienia na horyzoncie.

Erykowi wydawało się, że jakaś smuga cienia wyciąga ciemne macki w stronę wybrzeża, otulając całą trasę, którą płynął. Ostatnie czerwone promienie zachodzącego słońca przecinały niebo w miejscu, gdzie stykało się ono z wodą.

W powietrzu krążyły i nawoływały się ptaki morskie. Latały wzdłuż wybrzeża, rozpościerając szeroko skrzydła nad falami, prześlizgując się w locie tuż nad głową Eryka. Z całą pewnością część z nich znajdowała się na wyspie wówczas, gdy on toczył walkę z potworem, i przyglądała się temu.

A teraz podążały za nim, jakby go szpiegowały. Ale dla kogo i w jakim celu?

Łódka kołysała się lekko pod wpływem fali. Pierwszemu lepszemu stworowi, który wynurzyłby się z wody, udałoby się przewrócić łódź do góry dnem. Nie wolno mu o tym myśleć! I tak ma szczęście, bo przybrzeżna fala niesie łódkę na swoim grzbiecie, ułatwiając mu wiosłowanie.

Wraz z upływem minut i wraz ze zbliżaniem się plaży coraz bardziej wzrastała ufność Eryka i jego pewność siebie. Dlatego też nie był najlepiej przygotowany na kłopoty, które go spotkały w chwilę później.

Łódka zazgrzytała łagodnie o piasek i chłopiec wskoczył do wody, chcąc łódkę wyciągnąć na brzeg. Ptaki morskie, które przedtem były obecne na wyspie i przyglądały się atakowi wielkiego ptaka, teraz udowodniły, że są Erykowi przyjazne. Gdy chłopiec gramolił się na mokry piasek na plaży, one poleciały w kierunku wydm, wrzeszcząc przeraźliwie i wydając taki sam dźwięk, jak wtedy, gdy wpadł do gniazda.

Eryk obrócił się błyskawicznie. Wydmy tworzyły wzgórza i doliny, którymi przemykał wiatr, marszcząc powierzchnię piasku. Teraz z kilku takich dolin wysypywały się chmury istot nie wyższych od niego. Biegły one szybko na błoniastych stopach, starając się go okrążyć.

Ich łuskowata skóra połyskiwała mokro w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Splątane grzywy zielonych włosów opadały im na oczy, które były utkwione w Eryku. Chłopiec odniósł wrażenie, że jeśli zaraz się nie zatrzymają, to zepchną go z powrotem do morza.

Trzymał w ręku róg i łyżkę. Łyżka osłoniła go przed furią gigantycznego ptaka, ocaliła go w walce z niewidocznym potworem w jaskini. Teraz musi mu wyciąć ścieżkę w tym tłumie morskich ludzi. Rzemyk rogu przywiązał do pasa, zabezpieczając go tak, żeby się nie urwał.

I oto - trzymając swą dziwną broń przed sobą - ruszył naprzód na spotkanie napastników. Szybkim ruchem zagarnął łyżką trochę piasku i sypnął nim w twarze dwóch najbliższych istot. Odskoczyły do tyłu, wrzeszcząc głośno i przecierając gwałtownie oczy. Ich cienkie, wysokie głosy przypominały nieco krzyki ptaków morskich. Zbliźali się jednak następni i Eryk znowu zamachnął się łyżką. Trafił jednego z mieszkańców morza, który przewracając się zahaczył o biegnącego obok kompana i pociągnął go za sobą na ziemię. W ten sposób powstał przesmyk w szeregu napastników i Eryk czym prędzej rzucił się w tę stronę. Wbiegł w dolinę pomiędzy dwoma wydmami, wnet jednak zobaczył, że przed nim wznosi się nowe, trzecie zbocze i po chwili doszedł do wniosku, że wspięcie się na piaszczyste wzgórze, na pełnych obrotach, będzie stanowiło nie lada wyczyn. W każdej sekundzie spodziewał się też, że błoniasta łapa może zamknąć się wokół jego kostki i ściągnąć go w dół. Ale pomimo ucisku w piersiach i walącego szaleńczo serca osiągnął szczyt wzniesienia, wyprzedzając nieustannie swych prześladowców.

Jeden ze stworów wysunął w stronę Eryka swoją zieloną rękę. Za pierwszym pojawiali się następni. Ich wrzaski dźwięczały mu w uszach, oszałamiały. Napastnicy okrążyli już wydmy dookoła i teraz zbliźali się ze wszystkich stron. Eryk nie widział

możliwości ucieczki. Uderzył w najbliższego przeciwnika łyżką, spychając go w dół. A potem - nie mogąc już myśleć o niczym innym - rzucił swą broń we wspinające się istoty i przytknął róg do ust. Zadał z całą mocą, jaka pozostała w jego ściśniętych płucach.

Rozległo się uderzenie gromu. Zieloni ludzie zamarli w bezruchu, a następnie rzucili się na Eryka, zawodząc przeraźliwie. Ale przed chłopcem pojawiła się nagle lśniaca, srebrzysta kurtyna, wskoczył więc w nią bez wahania.

Na omiatanym przez wiatr zboczach stał Huon, odziany w srebrną zbroję okrytą zieloną kamizelką, z hełmem na głowie. Za nim stali rycerze i łucznicy z Caer Siddi, a ponad ich głowami powiewała chorągiew, która wcześniej znajdowała się na zamkowej wieży.

Chociaż Eryk był pewien, że wystarczająco mocno przywiązał róg, ten jakimś cudem wzbil się w powietrze. Pochwycił go Huon. Jedną ręką pozdrowił on Eryka, a drugą przytknął róg do ust. Ponownie niebo przeszył huk gromu, a Eryka porwał wiatr, czy też jakaś magiczna siła, która uniosła go w dal.

Eryk, dysząc ciężko, oparł się o pień drzewa. Przed nim - równie zmęczony i brudny jak on - leżał na ziemi Grzegorz.

- Kraaa... - zakrakał ptak.

Sara skoczyła naprzód, ale skrzydło ptaka otarło się o jej ogon. Zaciskała mocno zęby na pierścieniu i biegła tak szybko jak mogła w kierunku gwiazdy i koła, gdzie chyba czekał na nią lis. Przypomniała sobie, że kiedyś widziała, jak ptaki atakowały kota. Teraz znalazła się w podobnej sytuacji i bała się ich ostrych dziobów i szponów.

- Biegnij! Szybciej! - dla ludzkich uszu zabrzmiałoby to tylko jak szczekanie zdenerwowanego lisa, ale dla Sary była to obietnica pomocy. Wielkie, rude ciało jej przewodnika śmignęło tuż obok niej, chroniąc ją przed atakami ptaków. Ale nie tak łatwo było się ich pozbyć.

Po chwili ptasi pazur zadrasnął ją w ucho i Sara poczuła ostre ukłucie bólu. Chciała wykrzyknąć całą swą wściekłość, ale - pamiętając o pierścieniu, który niosła - trzymała usta zamknięte i biegła dalej. Biegła jednak coraz wolniej, czuła suchość w gardle i ból w piersi. Jeszcze trochę... jeszcze... i już... była w gwieździe wewnątrz koła!

Lis wciąż wyskakiwał w powietrze, walcząc z ptakami tak zawzięcie, że

czarne pióra opadały na ziemię. W końcu złapał jednego ptaka w zęby i potrząsnął nim. Pozostałe ptaki zmierzały jednak w stronę Sary, która tymczasem uniosła się na tylnych nogach i broniła się wyciągniętymi pazurami. Następnie wykonała długi skok i wylądowała obok koszyka w samym środku gwiazdy.

Lis szczeknął, a ptaki zaatakowały ponownie.

- Użyj pierścienia! Zmień postać z pomocą pierścienia!

Sara otworzyła pyszczek, pierścień wypadł na pokrywkę koszyka.

- Dotknij go i wymów życzenie! - Lis rzucał się zniecierpliwiony na zewnątrz gwiazdy.

Sara uniosła obolałą łapkę i położyła ją na żelaznym krążku.

- Chcę znowu być sobą - zamiauczała.

Futro na jej grzbiecie i na łapach zaczęło zanikać, pazury przekształciły się w palce. Po chwili była znowu prawdziwą Sarą, wewnątrz i zewnątrz, z piekącym zadrapaniem na policzku i tak zmęczona, że nie mogła się prawie ruszyć.

Lis ponownie szczeknął, ale tym razem już go nie rozumiała. Pokiwał energicznie głową i wskazał na ścieżkę w sposób, który nie pozostawiał wątpliwości. Spełniła więc jego rozkaz i powstała.

Pierścień! Leżał na pokrywce koszyka. Podniosła go i wsunęła na palec, zaciskając pięść dla bezpieczeństwa. Następnie chwyciła w drugą rękę koszyk i ruszyła za lisem.

Ptaki wycofały się, gdy Sara użyła mocy pierścienia i - chociaż wciąż słyszała ich chrapliwe krzyki - nie próbowały już atakować.

Sara była tak zmęczona, że marsz sprawiał jej trudności. Na szczęście nie szli daleko leśną ścieżką. Lis wśliznął się teraz pomiędzy dwa drzewa, czekał uspokajająco i ponaglał Sarę cichym skomleniem.

Wreszcie wyszli na skraj lasu, w miejscu gdzie gałęzie tworzyły jakby okno, przez które można było spojrzeć. Dziewczynka nie zdziwiła się zbytnio, gdy za tymi gałęziami ujrziała pokój z lustrem, w którym gobeliny wciąż poruszały się na wietrze.

Był tam Merlin. Patrzył na nią. Uśmiechnął się, kiwnął głową i wyciągnął w jej stronę rękę, unosząc w górę dłoń. Sara ściągnęła zimny pierścień z palca, zadowolona, że może go się pozbyć. Rzuciła go przez otwór między gałęziami i zobaczyła, jak Merlin go chwyta, jak jego palce zaciskają się na nim. Wtedy obraz pokoju z lustrem zniknął, a w jego miejsce pojawił się widok na inny las, gdzie pod drzewem siedzieli razem Grzegorz i Eryk, obydwoje wyglądający tak, jakby stoczyli

przed chwilą ciężką walkę.

- Grzegorzu! Eryku! - zawołała Sara i przedarła się przez krzaki. Postawiła koszyk na ziemi i chwyciła braci w ramiona, chcąc się upewnić, że są tutaj naprawdę. Nie wierzyła wprost, że znowu są wszyscy razem.

- Sara!

Obydwaj chłopcy ścisnęli mocno jej ręce. Z tyłu dotarło do nich głośne szcęknięcie. To lis przyszedł tu za nią, a teraz wybiegł do przodu, oglądając się na nich w geście zaproszenia.

Sara była tak przyzwyczajona do posłuchu wobec lisa, że uwolniła natychmiast ręce z uścisku braci i podniosła koszyk.

- Chodźcie!

Szli pomiędzy drzewami, aż wreszcie stanęli przed kamiennym łukiem grubo porośniętym zielonym mchem. Łuk zwieńczała rzeźba przedstawiająca lisa.

- Brama! - zawołał Eryk i pobiegł naprzód. - Możemy wrócić...

Sara odwróciła się do lisa i wyciągnęła do niego rękę. Wielkie zwierzę podeszło do niej i przez chwilę jej palce spoczęły na jego dumnej głowie. Lis teraz szcęknął niecierpliwie, a Grzegorz pociągnął Sarę za sobą.

Brama była jednak zamknięta. Nie widzieli wprawdzie żadnej bariery, ale była tam. Istniała jakaś niewidoczna ściana pomiędzy nimi, a ich własnym światem.

- O co chodzi? - Eryk podniósł głowę. Jego twarz zaczerwieniła się, gdy zaczął krzyczeć głośno na drzewa wokół nich. - Odzyskaliśmy wasze talizmany, prawda? Otwórzcie więc bramę! W tej chwili!

Sara spojrzała na Grzegorza. Poczuła, jak drżą jej wargi. Była prawie tak samo przerażona, jak w tamtym złym lesie, gdy otoczyły ją pająki. Czy nigdy nie będą już mogli opuścić Awalonu? To była naprawdę wspaniała przygoda, ale Sara chciała, żeby się wreszcie skończyła, i to natychmiast!

- Otwierać! - krzyczał Eryk i uderzył pięścią w pustą przestrzeń pomiędzy kamiennymi słupami i jego ręka odbiła się od niewidzialnej powierzchni.

Wtedy spostrzegli nagle migotanie srebrnego światła. Sara złapała Grzegorza za ramię. Eryk cofnął się nieco. Srebrna poświata zmieniła się w mgłę, w której pośród pobłyskujących iskierek stał Merlin. Czerwone linie na jego szacie skręcały się i wiły we wszystkie strony, wydając im się jaśniejszymi niż zwykle. Na palcu wskazującym jego wzniesionej dłoni spoczywał żelazny pierścień.

Sara spojrzała na ten pierścień i powiedziała:

- Chcemy wrócić do domu.

- Zimne żelazo ma magiczną moc - odparł Merlin. - Pozostawiliście za sobą coś, co nie należy do Awalonu i to nie pozwala wam przejść przez tę bramę.

- Widelec! - krzyknął Grzegorz. - Straciłem go na górskiej drodze, gdy walczyliśmy, aby się dostać do Króla Artura!

- I łyżka - wtrącił Eryk. - Porzuciłem ją na wydmie, gdy ścigali mnie morscy ludzie.

- Ja rzuciłam nożem w ropuchę - dodała Sara. - Czy to znaczy, że musimy się wrócić i odnaleźć te wszystkie przedmioty?

- Żelazo, zimne żelazo, odpowiedz na wezwanie żelaza... i waszego Mistrza - Merlin przekreślił pierścień na palcu.

Dał się słyszeć cichy brzęk i po chwili u jego stóp leżał widelec, łyżka i nóż, znów w swej naturalnej wielkości. Merlin skinął na Grzegorza palcem, na którym tkwił pierścień. Chłopiec podniósł widelec.

- Żelazo ducha! Żelazo mocy! Czynię cię mistrzem. Panuj nad ciemnościami i tym, co się w nich kryje - wewnątrz ciemności i poza ciemnością.

Następnie Merlin wskazał na Eryka, który podniósł łyżkę.

- Żelazo ducha! Żelazo mocy! Czynię cię mistrzem. Panuj nad lękiem wewnętrznym i lękiem na zewnątrz, niech strach przed falami będzie ci na zawsze obcy.

Nadeszła kolej Sary. Jej palce zacisnęły się na rączce noża, gdy usłyszała obiecujący, ciepły głos Merlina:

- Żelazo ducha! Żelazo mocy! Czynię cię mistrzem. Panuj od dziś nad wszystkimi strachami, niezależnie od tego, czy przybędą pełzając, ślizgając się, czy też biegnąc na wielu nogach!

- Panie! - rzekł Grzegorz, który stał obok, obracając widelec w palcach. - A co z bitwą? Czy król Artur i Huon zwyciężą?

- Już zmusili nieprzyjaciół do odwrotu. Jak na razie Awalon wciąż się trzyma i wygrywa! A teraz - wskazał ręką w kierunku bramy - proszę was, idźcie swoją drogą i weźcie zimne żelazo ze sobą. Wiedźcie też, że Awalon jest wam wdzięczny i będzie nad wami czuwał jak nad własnymi dziećmi. Jesteście teraz jego częścią, co w przyszłości może więcej dla was znaczyć, niż dzisiaj sądzicie. Brama jest otwarta. Idźcie!

Sara zaczęła biec przed siebie, z Grzegorzem i Brykiem po obu stronach.

Wokół nich zawirowała mgła i nagle znaleźli się znowu na dziedzińcu miniaturowego zamku.

- Brama zniknęła! - krzyknął Eryk.

Na jego okrzyk pozostała dwójka odwróciła się szybko. Wszystkie kamienie, które wyciągnęli ze ściany, aby zrobić przejście, znajdowały się znów na swoich miejscach. I winorośla znowu plotły na nich swoją zieloną zasłonę. Czy to wszystko naprawdę im się przydarzyło?

W rękę Grzegorza znowu spoczywał widelec, Eryk trzymał łyżkę, a Sara ścisnęła nóż i koszyk.

- Żelazo... - zaczął Grzegorz, lecz zaraz się poprawił. - Magia stali!

Ogromny czarny pająk wypełził pomiędzy kamieni i przebiegł przez chodnik tuż obok stóp Sary. Dziewczynka nie odskoczyła do tyłu, przyjrzała mu się tylko i powiedziała półgłosem do siebie:

- Panuj od dziś nad wszystkimi strachami, niezależnie od tego, czy przybędą pełzając, ślizgając się, czy też biegnąc na wielu nogach.

Spojrzała jeszcze raz na pająka. Przecież to stworzenie jest zupełnie niczym w porównaniu z tymi, z którymi walczyła w oplecionym pajęczynami lesie. Nie ma się czego bać. To tylko mały robak. Żelazo ducha i żelazo mocy! Od dzisiaj nie będzie się bała nawet największych pajaków w ogrodzie.

Grzegorz i Eryk nie mieli zapewne jeszcze okazji, żeby wypróbować swoje żelazo odwagi i mocy, ale była pewna, że w ich przypadku to się również sprawdzi i że nie będą potrzebowali łyżki czy widelca, aby to udowodnić.

- Hej! - zawołał Eryk, który biegł daleko w przodzie, po żwirowej ścieżce prowadzącej na brzeg. - Czy słyszycie ten odgłos? - i niczym wyzwanie wrzucił kamień do jeziora, dając im do zrozumienia, że woda jest do picia, mycia - no i do pływania, że woda to po prostu woda!

Wtem usłyszeli gwizdek. To sygnał wuja Maca, mówiący im, że trzeba wracać.

- Idziemy! - krzyknęła Sara, ścisnąjąc mocniej koszyk. I pobiegła za braćmi.

ANDRE NORTON (właściwie Alice Mary Norton), urodziła się 17 kwietnia 1912 roku w Cleveland w stanie Ohio. W latach 1930-32 studiowała na Attended Western Reserve University (obecnie Case Western Reserve University). Lata 1930-41 to również praca w dziale dziecięcym biblioteki w Cleveland. W latach 1942-51 była sprzedawcą i bibliotekarką w Mystery House. Od 1950 roku utrzymuje się z pisarstwa. Andre Norton pracowała też jako wydawca w Gnome Press (1950-58). Otrzymała m.in. następujące nagrody:

- Boy's Clubs of America Medal za Bullar of the Space Patrol (1951);
- nominację do Hugo za powieść Star Hunter (1962) i ponowną nominację za najgłośniejszą książkę Świat Czarownic (1964);
- Invisible Man (przyznany na Westerncon XVI) za całokształt twórczości (1963);
- Boy's Clubs of America Certificate of Merit za Night of Mask (1965);
- Phoenix Award za całokształt twórczości (1976);
- jedną z najbardziej prestiżowych nagród Gandalf Master of Fantasy przyznaną na Światowym Konwencie Science-Fiction (1977);
- Balrog Fantasy Award and Ohioana Award za całokształt twórczości (1979);
- Fritz Leiber Award za wkład do fantasy (1981);
- E. E. Smith Award (1984);
- tytuł Wielkiego Mistrza SF (Nebula Grand Master Award, 1984) oraz w Jules Verne Award (1984).

Magia stali to książka dla najmłodszych miłośników fantastyki. W poetyce i przekazywanych wartościach zbliżona do kronik Narni oraz książek Verne'a.

Literatura fantastyczna przeszła długą drogę rozwoju i choć dziś prezentuje czytelnikowi książki bardzo dojrzałe, to wspomnieć należałoby, że często pierwszy kontakt z tą literaturą następuje w wieku najmłodszym. Do takich właśnie książek należy *Magia stali*. Każda rodzina może bez obawy polecić swojej najmłodszej pocieszę Magię stali - mając nadzieję, że za lat dziesięć czy dwadzieścia sięgnie do najbardziej dojrzałych książek tego gatunku.